

Romantyczne nierządnice

str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0013-747X N 19 WRZESIEŃ 1986

Kamena

NR 19 (865)

21 września 1986

Cena 15 zł

Energia jutra:

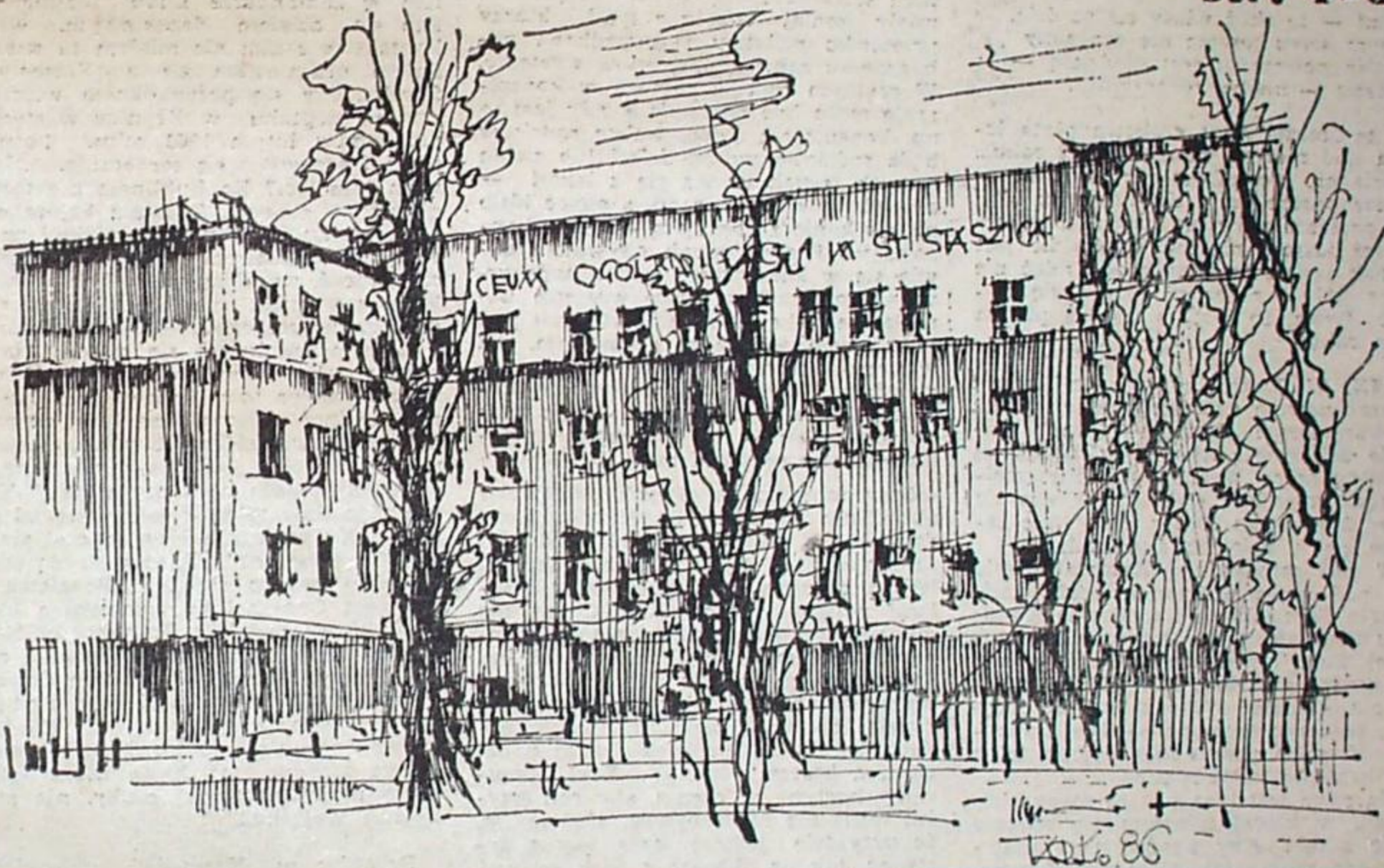
jądrowa czy słoneczna?

str. 9

400 LAT „STASZICA”

str. 4-5

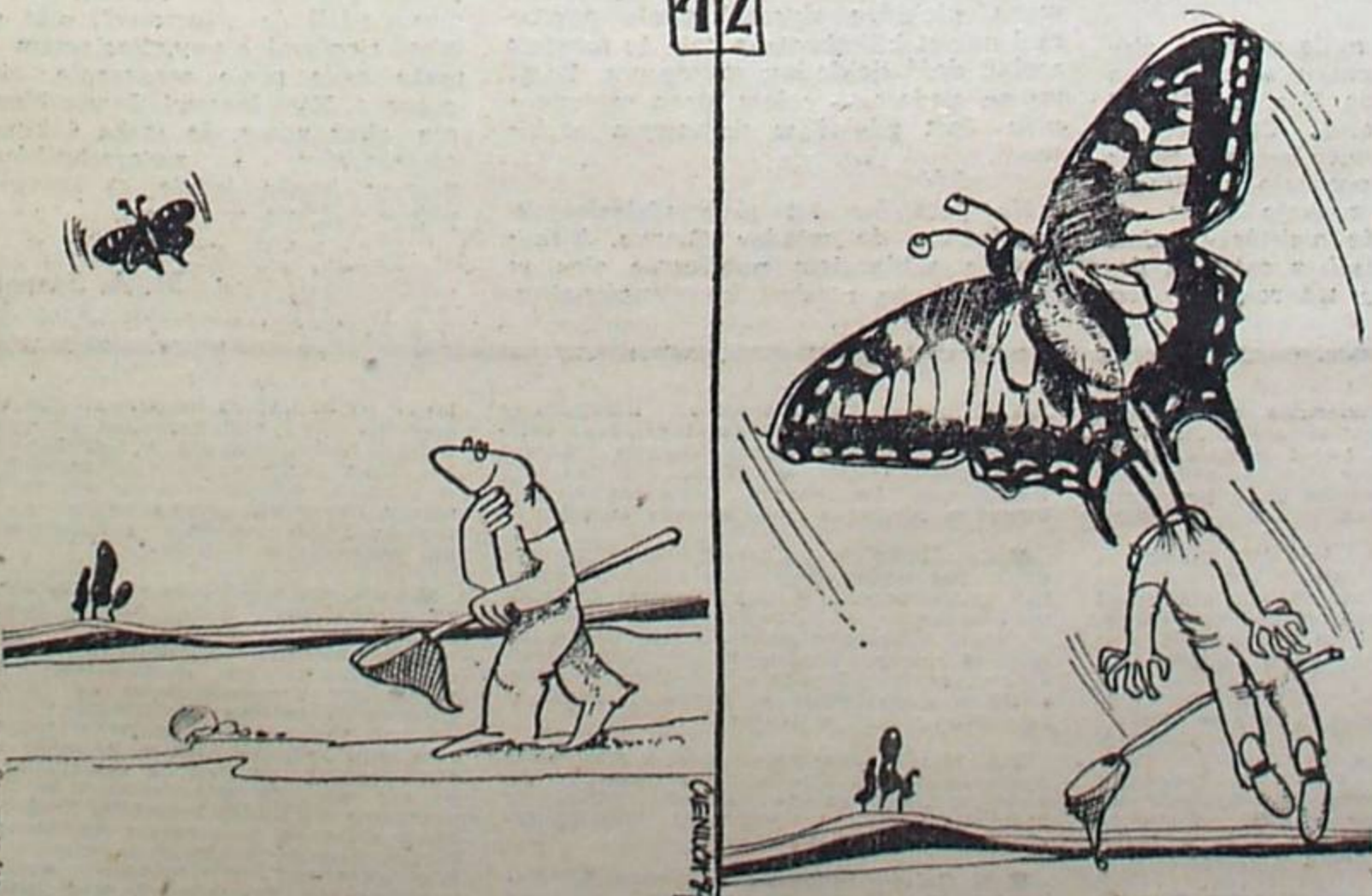
Rys. Józef Tarłowski



POŻEGNANIE Z LATEM

42

Rys. Zbigniew Cienich



Och, życie!

str. 3,8

Okradanie mieszkań

str. 10-11

z notatnika

6 IX. Trzynasta rocznica śmierci Ojca. Byłem akurat w Zamościu, nie złożyłem tego dnia kwiatów na grobie, choć o samej rocznicy pamiętałem. Strasznie szybko ten czas biegł. W przyszłym roku Ojciec, gdyby żył, obchodziłby dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin. Piękny wiek, niektórzy choć bardzo nieliczni, tego wieku dożywają, jak choćby Maria Bechzyz-Rudnicka, której niewiele brakowało do 95 rocznicy urodzin. Za dwa lata przypadnie setna rocznica jej urodzin, myślę, że Wydziałowi Kultury UW warto już o tym dzisiaj przypomnieć.

Wracam jednak do Ojca. Bodaż w 1955 czy 1956 roku napisał wiersz, który brzmiał tak:

"Kiedy już stuknie sześćdziesiątka najzgodniej z kartką kalendarza, panie Jaworski, lat tych klątwa niech pana zbytnio nie przeraża.

Wprawdzie na szczyt szlak wiedzy
a szybko się w dolinę schodzi,
lecz wzrok wciąż wsparty w słońca
i wiatr policzki chłodzi.

A ile jeszcze lat zostało
do końca pańskiej biografii,
nie ważne: zawsze będzie mało,
choćby jak Solski pan potrafił.

Grunt — że choć włosy się popieją,
w tym sercu jeszcze nie ma zimy
i dzień powszedni jest niedziela —
a reszta — kiedyś zobaczymy".

I tą „resztą” jest grobowa płyta leżąca nad nim od września 1973 roku...
Dziś nie musiałbym nic zmieniać — wiersz pasuje już i do mnie jak ulał. Nie przeraża mnie lat klątwa, a w sercu też jeszcze nie ma zimy. Ze jest jednak jesień, to wątpliwości mieć nie mogę! Ale i z jesieni należy się cieszyć. Bywa, że jest to bardzo piękna pora roku!

8 IX. W Zamościu — seminarium nieuczniawcze zorganizowane przez Stowarzyszenie „Wisła — Odra” imituje działalność Akademii Zamojskiej — Wszechnicy Wychowania Obywatelskiego. Przyszłość wykaże, czy właśnie dzień 5 września 1986 r. na trwałe zapisze się w dziejach akademii.

W sali zamojskiego Ratusza odbyło się pod przewodnictwem prof. Kazimierza Secomskiego posiedzenie Komitetu Obywatelskiego Akademii Zamojskiej. Znak czasu: uczestniczyli w nim m. in. i sekretarz KW PZPR w Zamościu — Marian Wysocki i ostatni ordynat, potomek hetmana — Jan Zamoyński. (Czy do pomysłu byłoby takie spotkanie w... 1944 roku?)

Na razie jest idea i stare mury akademii, w której mieszczą się obecnie dwie szkoły. Aby akademii (z prawdziwego zdarzenia) stała się faktem, trzeba dla tych dwóch szkół zbudować siedziby, no i solidnie wyremontować gmach akademii. W sumie (według obecnych cen) — prawie dwa miliardy złotych!

Komitet Obywatelski jest dobrej myśli, renowacja Zamościa, chociaż z pośpiechem, trwa i z uwagi na szczególnie zabytkowy charakter miasta nie jest tylko sprawą lokalną.

Co ma być na razie? Seminarium, kursy, szkolenia w ramach Wszechnicy Wychowania Obywatelskiego. Nicco później — podyplomowe studium nauczycielskie. Działalność akademii ma przede wszystkim objąć kadrę młodzieżową. Jeszcze tego nie widać, bo we

wspomnianym seminarium nieuczniawczym głównie uczestniczyli ludzie raczej w wieku średnim, dla których nie wszystkie referaty należały do odkrywczych.

No, ale początek, jakiś początek, już jest. Stowarzyszenie „Wisła — Odra” i jego przewodniczący, Edmund Męclewski, na pewno mają dobre chęci. Przewodniczący tryska energią, widać, że pasja publicysty żyje u niego w symbiozie z pasją społecznika.

12 IX. Usłyszałem w dzienniku TV, że przewodniczący Komitetu Rady Ministrów do spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej, minister spraw wewnętrznych, gen. broni Czesław Kiszczak, kierując się stanem bezpieczeństwa państwa, umacniając się stabilizacją, wystąpił z wnioskiem do prokuratora generalnego o spowodowanie, aby właściwe prokuratury i sądy zwoływały do dnia 15 września 1986 r. z aresztów i zakładów karnych (na mocy ustawy z 17 lipca br.) wszystkie osoby skazane i aresztowane za przestępstwa i wykroczenia przeciwko państwu i porządkowi publicznemu.

O! i tyle roboty na nic! Może ten mój komentarz zabrzmiał dla niektórych jak dysonans, z góry więc przepraszam za grubiaństwo, a organom ścigania życzę, by w przyszłości miały mniej roboty z tymi, którzy przeciwko państwu i porządkowi publicznemu zapagnęliby znów wystąpić. W realnym świecie zabawa w konspirację może być zrozumiała, gdy jest to np. konspiracja dzieci wobec rodziców bądź rodziców wobec dzieci lub siebie samych (synek urywa się z lekcji — oczywiście w konspiracji, a ojciec idzie na spotkanie z kochanką — też w konspiracji). Kiedy jednak obywatele bawią się w konspirację wobec państwa, własnego państwa, które wreszcie istnieje nie tylko na mapie, wówczas jest to o wiele większym draństwem, niż w przypadkach, które wymieniłem poprzednio. Fakt, że to państwo wykazuje wiele tolerancji, choć — jak uczy doświadczenie — ta tolerancja też jakiegoś granice posiadać musi.

Przy robieniu domowych porządków natrafiłem na różne biuletynki „Solidarności” z 1981 roku. Cóż to dzisiaj za znakomita lektura z gatunku sf! Wśród autorów są i panowie z tytułami naukowymi, a jakże! Ciągłe nie mogę zrozumieć, jakież to amok ich opętał? Bardzo byliby ciekaw, jak oni dzisiaj patrzą na te swoje ówczesne wyrzuty? Albo jak oceniają sławetny strajk szkolny niektórych spośród pedagogów, którzy przecież dzisiaj nadal uczą, a którzy wówczas... Ech! Zarzucamy kurtynę milczenia, aby ran (czy ich ran?) nie rozdrapywać, ale myślę, że przyjdzie jeszcze czas, aby z dystansu, tak na chłodno o tych wszystkich sprawach sobie powiedzieć. Wiem, że niełatwo człowiekowi przyznawać się do własnych błędów, ale wiem również, że nie samokrytyka, ale krytyka jest najmocniejszą stroną moich współziomków. Czasami tych partyjnych również!

Wyznam, że korei mnie czasami, aby jakiś tekst z biuletynki wyciąć albo przepisać i wysłać do X-a czy Y-a. I wcale nie anonimowo! Czy jedyną reakcją byłoby stwierdzenie: „Niech mnie ten Jaworski pocaluje w dupę?” Oczywiście i taka reakcja może się zdarzyć, ale sądzę, że niektórzy ludzie już się czegoś nauczyli, a ostatnia decyzja gen. Kiszczaka też rozjaśni im

pewne komórki mózgowe. Pod warunkiem, że te komórki jeszcze działają. Inna rzecz, że znam też takiego, który zawsze potrafił odpowiednio ustawić żagiel swoich publikacji już wówczas, gdy poczuł nawet najmniejszy zefirek. Z Zachodu czy ze Wschodu! Znów inny umiejętnie przeczeszał lata 1980—1981, by później — jako człek nieskazany bakcylem S — pofrunąć. Nie jest to jednak piętrowy zbyt wysokie, a może to i w ogóle nie jest żadne piętrowe?

Różni są ludzie, różnie im w duszach gra, dzięki nim świat jest barwny i umie zaskoczyć niespodziankami. Ja tam świata nie naprawię, mądrzejsi ode mnie próbowali i też im nie wyszło.

Ktoś to przeczyta i może zaduma się przez moment: kogo Jaworski miał tu na myśli wymieniając X-a, Y-a, tego czy tamtego? A może właśnie ciebie, kochaniutki?

13 IX. Władysław Kozdra nie żyje... „Sztandar Ludu” przypominał życiorys tego działacza politycznego i społecznego, Budowniczego Polskiej Ludowej, długoletniego (1956—1971) i sekretarza KW PZPR w Lublinie.

Piętnaście lat na stanowisku I sekretarza KW w jednym mieście, a potem dziewięć — w drugim, Koszalinie, w sumie więc prawie ćwierć wieku! Nie wiem, czy w Polsce znalazłby się ktoś, kto dłużej od niego sprawowałby tę funkcję...

Kiedy tow. Kozdra został wybrany I sekretarzem KW w Lublinie, pracowałem w „Sztandarze Ludu”. Zajmowałem się działem depešowym, więc kontaktów z nim nie miałem za wiele. Potem przeniosłem się do Szczecina. Spotkałem się przypadkowo wieczorem na deptaku w Krynicy w styczniu lub w lutym 1963 roku. Poznał mnie i przywitał się serdecznie. „Jak wam tam leci? Za Lublinem nie tęsknicie?” — zapytał. Coś tam bąknąłem, a on na to: „Lublinianie powinni pracować na Lubelszczyźnie. Jak zechce wracać, przedzwońcie!” Rok później Włodek Smutek, wówczas zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”, z którym spotkałem się podczas jednego z pobytów w Lublinie, powtórzył te same słowa tow. Kozdry: „Lublinianie powinni pracować na Lubelszczyźnie”. Odpowiedziałem bardziej żartem niż serio: „Na redaktora naczelnego »Kamienia« może bym przyszedł...” Następnego dnia Włodek zatelefonował do mnie: „Ty poważnie mówileś o »Kamieniu«?” „A bo co?” „Kozdra się do tego projektu bardzo zapalił!” Rozmowa z Witkiem Chojnackim, ówczesnym kierownikiem Wydziału Propagandy KW, doprowadziła już do sfinalizowania całej sprawy. Wspominał o tym dzisiaj, kiedy i mnie już bliżej niż dale, aby uzmysłowić, jakie bywały (?) korzenie posunięć kadrowych, a mam prawo przypuszczać, że ta, która dotyczyła mojej skromnej osoby, nie stanowiła wyjątku...

Pracując w „Kamieniu” już częściej spotykałem się z tow. Kozdrą. Pamiętam, jak w 1968 r. referował on ważne spotkanie pierwszych sekretarzy KW z tow. Władysławem Gomułą. Miał szczegółowe notatki z wystąpienia Władysława, które nigdy nie było publikowane, niektóre sformułowania powtarzał nawet kilkakrotnie, tak, że mogłem zrobić dość dokładny stenogram. Zajął mi on siedem — osiem stron maszynopisu. Jest gdzieś w domowym archiwum.

Na początku lat siedemdziesiątych, po dojściu do władzy Gierka, kilkakrotnie zabierałem publicznie głos w sposób chyba niezbyt konwencjonalny.

Później, nieżyjący już dziś, tow. Józef Dechnik z Bilgoraja zwierzył mi się: „Wście, kiedy raz zgłosiliście się do dyskusji, Kozdra nacylił się do mnie i powiedział: zabierz głos po Jaworskim, bo nie wiem, z czym Jaworski dzisiaj wyskoczy...”

A jednak (luty 1971 r.) tow. Kozdra specjalnie mnie kiedyś szukał (tow. Włoch zapewne pamięta), kiedy jechał na spotkanie z aktywnym partyjnym WSK w Świdniku. Mówił wtedy długo, ale bardzo bezpośrednio i nie korzystał z żadnych notatek. Wspominał, że w wieczornym dzienniku telewizyjnym będzie wiadomość o odwołaniu podwyżek cen. Dziennik zaczął się z kilkunastominutowym opóźnieniem, ale informacja, o której wspominał tow. Kozdra, w nim się znalazła. Kiedy wracaliśmy samochodem do Lublina, powiedział: „Nie wście, co ja przeżyłem, kiedy ten dziennik tak się opóźniał. Myślałem, że w Warszawie coś im się znowu odwróciło”.

Tow. Kozdra miał, jeśli tak można stwierdzić, jednego konika: ład, czystość i porządek, głównie na wsi. Chciał, by województwo, którym rządził, wyróżniało się właśnie pod tym względem. Kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych przemierzałem samochodem Pomorze, nie musiałem oglądać tablic, na których jedno województwo żegnało, a drugie witało. Po prostu patrząc na zadbane obiekty gospodarcze, na postawione wokół nich i pomalowane, tak pomalowane płoty, widziało się, że to Koszalińskie!

Znamienne, że na VIII Zjeździe PZPR, ostatnim za kadencji Edwarda Gierka, właśnie tow. Kozdra wygłosił przemówienie chyba najbardziej krytyczne. Nie było w nim żadnych rewelacji, ale mimo to odbiegało ono od innych.

65 lat (ostatnie pięć na emeryturze) przeżył tow. Władysław Kozdra. Zmarł nagle. Podobno pisał wspomnienia. Może to być ciekawy materiał dla historyka zajmującego się dziejami najnowszymi.

Nie będę ukrywać: poruszyła mnie ta śmierć, chociaż nie ze wszystkim, co robił i co mówił tow. Kozdra, będąc w Lublinie, zgadzałem się całkowicie. Ale wiem, że na pewno nie była to postać tuzinkowa i jakiś ślad po nim na Lubelszczyźnie pozostał i pozostanie.

14 IX. Drużyna piłkarska Motoru wygrała najpierw z Ruchem na wyjeździe, a wczoraj u siebie z Lechią. Napisałem niedawno, że „czarno widzę”, więc powiniennem się teraz wstydić. Poczekam jeszcze trochę z pójściem do Canossy, ale, oczywiście, życzę Motorowi jak najlepiej. Dostajemy w świecie bity (nawet kolarze, po których sobie najbardziej obiecywano, nie spisali się choćby na aluminiowy medal), przewodniczący GKKFiT ogranicza wyjazdy naszych zawodników na „saksy”, ale tak po prawdzie, kto ich zechce, jeśli uzyskują takie miszerne wyniki? Jeśli więc tak nas wszędzie leją, muszą cieszyć lokalne sukcesy, stąd me życzenia dla Motoru. Teraz czytam wielkie tytuły, informujące radośnie, że M. (czytaj: Mirosław) Jaworski przychodzi do Motoru. Kiedy M. (czytaj: Marek) Jaworski przychodził do „Kamienia”, nikt go nie witał ciepłymi słowy. Pocieszam się, że może będą mnie serdecznie żegnać, czego i Mirosławowi Jaworskiemu życzę, choć wiem, że łaska i kibiców, i czytelników, i zwierzchników na pstrym koniu jedzie. O kolegach po piórze już nie wspomnę!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

Na przełomie sierpnia i września toczyły się w Polsce obrady XII Konferencji Europejskich Muzeów na Wolnym Powietrzu. Spotkania odbywały się w Warszawie, Sanoku, Zakopanem, a także w Lublinie (5 września). Miejscem obrad było Muzeum Wsi Lubelskiej znajdujące się na przedmieściach Lublina. Wymieniono m.in. doświadczenia wiążące się z ochroną wiejskich obiektów zabytkowych, funkcjonowaniem i konserwowaniem obiektów o charakterze muzealnym.

Na początku października w Puławach przed Liceum Ogólnokształcącym im. Adama J. Czartoryskiego stanie pomnik patrona tej szkoły. Autorem rzeźby wykonanej w płaskowku (o wysokości 5 m) jest puławianin, Ryszard Smiech.

W okresie wiosny i lata 1986 Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice” odbyło kilka artystycznych podróży. Zespół przebywał m.in. w Kanadzie, Szwajcarii, USA. Znaczący sukces odniósł teatr na Festiwalu Teatru Narodów, który w tym roku odbywał się w Baltimore.

Od 7 do 13 września trwały w Zamku VII Dni Muzyki, wypełnione licznymi koncertami z udziałem znakomych polskich muzyków (m.in. Piotra Palecznego) i aktorów (m.in. Krzysztofa Kolbergiera). Koncerty odbywały się w sali „Consulatus” zamojskiego Ratusza, a także w wojewódzkim i miejskim domu kultury.

W lubelskiej Filarmonii sezon muzyczny już trwa. 1 września zainaugurowano Lubelski Wrzesień Muzyczny. W ramach tej imprezy 13 września wystąpiła Grupa

Orkiestra Symfoniczna, inaugurując koncertem lubelskim swoje artystyczne tournée po Polsce, w czasie którego będzie koncertować m.in. w Warszawie, Łodzi, Bydgoszczy, Katowicach. Orkiestra weźmie udział w festiwalu „Warszawska Jesień”.

Zespół Tańca Ludowego „Kos” po raz drugi już wyjechał w tym roku na tournée artystyczne. Lubelscy tancerze zaplanowali występy w kilku krajach, w Krems (Austria) i Schenck (RFN), gdzie wezmą udział w międzynarodowych festiwalach folklorystycznych. Zespół występować będzie także w Czechosłowacji podczas wystawy „Agrokompleks” w Nitrze.

8, 10 i 12 września w Białej Podlaskiej prezentowany był monodram Barbary Wachowicz „Mój dziad Henryk”, poświęcony Sienkiewiczowi, w wykonaniu wrocławskiego piosarza Maril Sienkiewicz.

W Galerii Pracowni Konserwacji Zabytków w Warszawie otwarto wystawę „Wietnamscy konserwatorzy w Polsce”. Obejmującą 21 rzeźb inspirowanych sztuką ludową Wietnamu. Ekspozycja gromadzi

prace wietnamskich konserwatorów od przeszło pół roku zatrudnionych przy renowacji Starego Miasta w Lublinie. Ponadto pokazano także karykatury samych autorów rzeźb, wykonane przez Józefa Tartowskiego. Wystawa czynna będzie w Warszawie do końca września, a następnie zostanie pokazana w Lublinie.

Ciekawie zapowiada się w bieżącym sezonie działalność klubu MPIK „Masza” w ramach spotkań z cyklu „Bliziej teatru” wystąpi wkrótce znakomity aktor krakowski z Teatru im. Słowackiego Andrzej Grabowski, z monodramem wg tekstu Bogusława Schaeffera „Audycja V”, który uzyskał główną nagrodę na tegorocznym Festiwalu Jednego Aktora. Ponadto w „Maszy” zapowiadana jest na tegoroczną jesień po raz pierwszy zorganizowana w Lublinie panorama Chińskiej Republiki Ludowej, na którą złożą się prezentacje muzyczne, poetyckie, pokazy osiągnięć technicznych. Będzie także możliwość oglądania wystaw fotograficznych, książkowych oraz „podglądania” tajników chińskiej kuchni.

Powszedni dzień pomnika...

Marta Denys

WYPALONE znieść i zwiędłe kwiaty usuwa się stąd dyskretnie. Nikt ze zwiedzających w swej woli uczczenia pamięci ofiar byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku nie może poczuć się urażony, choć niektórzy czynią tu czasem gesty nieprzemyślane. Oto na prochy pomieszczone w urnie mauzoleum zwiedzający rzucają... monety. Po co? To nie rzymska fontanna Trevi, więc nie o powrót do tego miejsca by chodziło, lecz o wyniesioną stąd wiedzę, pamięć i przestroję. Mieszają się więc gesty upamiętnienia z niefrasobliwym turystycznym zwyczajem, co nie jest naganne samo w sobie, ale w tym miejscu kłopotliwe. Pracownicy muzeum, którzy usuwają te dowody bytności zwiedzających, muszą stąpać po sklepionej warstwie prochów, wyrównywać je i skrapiać każdorazowo szkłem wodnym. I nie jest to zabieg na tyle już dyskretny, by wśród mimowolnych świadków, a także i samych wykonujących, nie wywoływał estetycznych obiekcji. Konieczny jednak ze względów konserwatorskich, by ta szczególna zawartość urny przetrwała jak najdłużej.

Oto zachowane w całości III pole więźniów politycznych. Jeden z narożnych baraków dawnej obozowej łaźni i kuchni, jest zdemontowany. Poszczególne jego elementy poddawane są konserwacji, niektóre — zupełnie już zmuszające — wymianie. Na nowe? Nie, najczęściej na takie same, pobrane z zachowanych jeszcze w magazynach dawnych części obozowych baraków. Wśród zwiedzających pewna konsternacja, podejrzliwe spojrzenia na każdą odnowioną deskę, słupkę, stopień, i obawy, czy aby nie „dobudowuje” się tutaj historii.

Nie, nie dobudowuje się tutaj historii, a pieczołowicie od lat, zabezpiecza, zachowuje i utrwała to, co stanowi jej niezłomny dowód. Bo takie jest naczelne zadanie powołanego tu, na Majdanku, w czasie trwających jeszcze działań wojennych...

na ścianach polskich muzeum martyrologii.

Dzisiaj, w ciekawości swej codziennych nawet szczegółów i zabiegów konserwatorskich, dotykamy stale podstawowej koncepcji założenia i funkcjonowania muzeum. Jak motto brzmi pierwszy artykuł ustawy Sejmu Polskiego z 2 lipca 1947 roku, której mocą określony został charakter obiektu:

„Tereny byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku zachowuje się po wsze czasy, jako Pomnik Męczeństwa Narodu Polskiego i innych Narodów”.

Tegoroczne Dni Majdanka będą miały inną niż dotychczas formę. 24 września o godzinie 12-tej z terenu byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku rozlegnie się w słowie, pieśni i muzyce apel narodów o pokój. Przywołana zostanie pamięć o obywatelach 54 narodowości, którzy byli więźniami i ofiarami obozu na Majdanku. Ich cierpienie, bunt i nadzieja dyktują dzisiaj słowa owego apelu, jednoczącego w czasie i przestrzeni wszystkich ludzi na świecie, dla których pokój jest najwyższą wartością. Organizatorami tej niezwykle uroczystości są Towarzystwo Opieki nad Majdankiem oraz Państwowe Muzeum na Majdanku. Program słowno-muzyczny wykona aktorzy Teatru „Renum 16”, chór Towarzystwa Śpiewaczego „Echo” oraz werbiści z orkiestry Państwowych Szkół Budownictwa. Autorem całości programu jest więzień tego obozu Tadeusz Czajka.

Wyznaczenie granic muzeum, wybór obiektów poobozowych o najistotniejszej wartości dokumentalnej oraz urządzenie muzeum skonkretyzowała w 1949 roku komisja Ministerstwa Kultury i Sztuki. Po akceptacji projektu przez Ministerstwo, Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa przystąpiono do jego realizacji.

Z 270 ha powierzchni byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku wykrojonych zostało 96 ha terenu dla muzeum, a ochroną muzealną objęto komory gazowe, krematorium, III pole więźniów politycznych ogrodzenie, budki i wieże strażnicze, część magazynów i warsztatów przewidzianych na pawilony ekspozycyjne oraz kilka baraków dawnej komendatury na zapleczu, w sumie 78 obiektów z 280 wzniesionych w byłym obozie zagładzie.

Wybrano więc taki układ przestrzenny muzeum, który najwierniej odda-

wałby charakter byłego obozu. Przyjęto również — konsekwentnie do dziś stosowaną — zasadę, by zachowanej części zabudowy nie pomniejszać ani też nie wprowadzać do niej żadnych nowych elementów. Wymagal tego w pełni określony ustawa sejmową charakter muzeum jako dokumentu historycznego.

Miejsce po demontowanych barakach na polach I, II, IV i V zajmować miały sadzone tu — zgodnie z planem urzędzenia muzeum — dęby i brzozy, okolonie ciernistym żywopłotem. Biegł on śladem dawnych obozowych ogro-

żeń. Miał więc to być szczególnie w swoim rodzaju gaj dębowy. Jednakże okazało się, że podrosła i wybujała za latami zielen neutralizowała niejako teren, zasłaniając go coraz bardziej. Trzeba było odstąpić od tej koncepcji. Na dawnych polach więźniarskich pozostała odłóżka przestroni.

Z początkiem lat 60-tych muzeum, prócz intensywnej działalności naukowej-badawczej i oświatowej, przystąpiło do szeroko zakrojonych i nietypowych prac konserwatorskich oraz pewnych inwestycji, znajdując ogromną w tym przedsięwzięciu pomoc w Radzie Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa i reaktywowanym Towarzystwie Opieki nad Majdankiem.

Zaistniała też potrzeba opracowania dodatkowej koncepcji, która określałaby dokładniej najbliższe otoczenie terenu muzeum. Niebawem stanąć tu miały dwa monumenty — Pomnik Walki i Męczeństwa oraz Panteon-Mauzo-

leum, jak również nieodzowny dla prawidłowego funkcjonowania muzeum zespół budynków dla naukowego, administracyjnego i gospodarczego zaplecza tej placówki.

Problemy konserwacji obiektów i eksponatów byłego obozu koncentracyjnego okazały się jednak nadzwyczaj skomplikowane. Bo kto i kiedykolwiek na świecie konserwował prochy ludzi spalonych, ludzkie włosy, kilkanaście tysięcy par butów?

Muzeum na Majdanku przyszło się zmierzyć z tym niełatwym zadaniem, oczywiście nie w pojedynkę. Nawiązano stałą współpracę z Instytutem Techniki Budowlanej w Warszawie, Katedrą Chemii i Technologii Materiałów Budowlanych Politechniki Warszawskiej, Instytutem Przemysłu Organicznego „INCO”.

Badania i ekspertyzy, dokonywane przez te placówki naukowe pomagają wybrać najbardziej optymalne środki i sposoby konserwujące tę różnorodną masę eksponatów i obiektów. Z jakim skutkiem?

Zakonserwowane 35 lat temu według zaleceń Instytutu Techniki Budowlanej, baraki stoją do dzisiaj w tym samym stanie, które runęły, zwłoka i wyczerpanie, wymagają napraw. Trzeba było je rozzebrać, wymienić uszkodzone elementy zakonserwować i na nowo postawić. Wszystkie baraki co 4—5 lat spryskuje się specjalnymi środkami chemicznymi. Na co dzień pozostaje dbałość o dobrą wentylację tych obiektów, odpływ wód opadowych, zabezpieczenie od ognia i problem — jak wszędzie — braku papy na pokrycie dachów. Tę, niestety, klasę trzeba nową — nie zachowała się ani jedna „zapasowa” rolka z tamtego, wojennego, obozowego czasu.

A skóra (buty), jak tę zakonserwować? Instytut Przemysłu Organicznego pobral był próbki grzyba skóry i okazało się, że eksponat tym zagraża co najmniej siedem gatunków grzyba! Oczywiście, że i na to znalazł się sposób. Ogromną ilość 800 tys. par butów zdezynfekowano. Na wszystkie, zebrane w pojemnikach, poszła pod ciśnieniem toksyczna „mgła”, która nasycała je dokładnie. „Operację” tę w ciągu 10 dni wykonywali fachowcy z instytutu. Zabieg ten po 4—5 latach trzeba będzie powtórzyć.

Muzeum czynne jest przez prawie wszystkie dni w roku. Rocznie odwiedza je 200—250 tys. osób. W ciągu przeszło 40 lat istnienia tej placówki było tu już prawie 7 milionów zwiedzających z 71 krajów, połowa tej liczby to młodzież...

Powszednie dni tej placówki-pomnika wypełnione są ciągłą pracą nad jego trwaniem.

Ochzycie!

Krystyna Dubik

MOJE szczęśliwe dzieciństwo przerwała wojna. Miałam już 13 lat. Z tą feraią dla mnie trzynastka posypała się nie-szczęściami. Słyszałam nierzadko, że chodzą one parami. Tymczasem od dnia wybuchu wojny, a nawet jeszcze po wojnie, nie opuszczały mnie, ustawiając się kolejno jak niewidzialne zle duchy wymierzające cios za ciosem.

Moje rodzinne miasto — Lida — w czerwcu 1941 roku niemal z ziemią zostaje zrównane. Nam z matką udaje się uciec na wieś. Gdyby nie betonowa studnia na podwórku, niełatwo byłoby ustalić, w którym miejscu stał dom. Tylko kilkadziesiąt polamanych i opalonych drzew i gruz, gruz...

Drugim rodzinnym miasteczkiem mojej matki, odległym zaledwie o 50 km od Lidy, był Szczytno. Wędrowaliśmy więc tam, z tobołkami na plecach jak większość wojennych rozbitków, szukając u krewnych jakiegoś dachu nad głową. Trzeba było uważać na nogi, gdyż tuż obok ścieżek w trawie i liściach topolan, leżały niewypały bomb...

W Szczytno, po kilku miesiącach nasza rodzina skompletowała się od nowa. Radość nie

miała wprost granic. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że niedługo wojna znów nas rozdzieli.

Niemcy, pewni swoich sukcesów, wprowadzili własne porządki. Żydów zgonili do getta, młodzież wywożono do Niemiec, zaczęły się oblawy na partyzantów, którzy zbytnio nie bali się uzbrojonych po zęby hitlerowców. Nas wypędzano z domów przymusowo, nawet dzieci zmuszane były przypatrywać się egzekucjom dokonywanym przez powieszenie lub przez rozstrzelanie niewinnych ludzi...

Dla mnie osobiście najokrutniejszy był rok 1944, 27 kwietnia zginął mój chłopiec (pseud. „Strzygón” z pierwszej kompanii Ostoi u „Borsuka”), latem nagle umarła moja babunia, jesienią straciłam ukochanego ojca. To już siła złego na jednego! Groby, groby, groby... Zbiorowe i pojedyncze, znane i nieznane, bliskie i anonimowe. Niemal cały kraj zamienił się w jedno wielkie cmentarzysko.

Grasowały jeszcze różne bandy, chociaż wkroczyła już Armia Radziecka, wprowadzając ład i porządek. Zaczęłam pracować w jednym z biur komunalnych jako kasjerka. Skończyłam zaledwie osiem klas, ale język rosyjski znalazłam doskonale.

15 kwietnia 1945 roku opuściliśmy matkę i ja z młodszym bratem, Szczuczyn. Ta niebywała podróż w starych bydłowych wozach też warta by była opisu. Zresztą nie ja jedna ją przeżyłam. A przecież nie tak, jak głębokie, zbyt głębokie przeżycie nie zmusza niekiedy człowieka do podzielenia się tym z innymi ludźmi, którzy, być może, przeżyli to samo i wiedzą, co to znaczy ból rozłąki, samotność...

Rodzina jadąca razem z nami w jednym wagonie wysiadła gdzieś w Dziadówce, ale mojej matce zupełnie się tam nie podobało. Skorzystaliśmy z długiego postoju, gotując gorącą strawę. Jak Cyganie już ponad trzy tygodnie prowadziliśmy ten koczowniczy żywot. W jednym wagonie — dwie rodziny. Do tego jeszcze drób w klatce.

9 maja 1945 rok. Kutno. „Co znowu?” — myślałam przerażona, słysząc pojedyncze strzały, a potem całe serie z karabinów maszynowych i wystrzały z armat. Do naszej świadomości wciąż jeszcze nie docierał podawany przez głośniki komunikat o zakończeniu wojny. Radość była niepełna, ograniczona, stłumiona niewymownym żalem. Dlaczego moi bliscy nie doczekali tego dnia, dlaczego???

Wszyscy szaleli z radości, a ja nie potrafiłam opanować swojego rozgoryczenia. „Zostawcie mnie w spokoju, chcę być sama” — powtarzałam w kółko. Udało mi się wymknąć z wagonu, ukryć przed wszystkimi. Zamknęłam się, pamiętam, w zupełnie pustym wagonie, którego ściany były białe od mąki jakby pokryte szronem. Z trudem zasunęłam za sobą obrzucenie, ciężkie, skrzypiące drzwi i chyba jeszcze nigdy przedtem ani potem tak rozpaczliwie i spazmatycznie nie płakałam jak właśnie w ten niezapomniany dzień zakończenia wojny...

Wagon był wielki mczym rodzinny grobowiec. Poczułam się malutką; w swojej starej granatowej, z marynarskim kołnierzem, szkolnej jeszcze sukience przykucnęłam w jednym z kątów jak zbite, okaleczone sześcienne. Nie chciałam już żyć z rozpaczą stukając głową o ścianę wagonu. „Nie mam dla kogo żyć” — powtarzałam, poddając się kompletnie załamaniu i depresji. W końcu musiałam usnąć, spląkana jak niemowlę. Obudzili mnie rozsuwane przez kolejarza i wystraszoną matką, skrzypiące drzwi.

W tamtych to krytycznych dla mnie, nigdy nie zapomnianych dniach ukończyłam 18 lat...

Dojechaliśmy jeszcze tylko do Włocławka. Punkt repatriacyjny pękał w przysłowiowych szwach. Wagon z którego tak długo udało nam się korzystać, musiał już być opróżniony. Ci, którzy zdobyli jakikolwiek dach nad głową przygarniali bezdomnych. Przez całą noc spałam po prostu pod drzewem na peronie.

Kiedy zaproszono mnie do wspólnej izby, gdzie wchodziło się po wiszących schodach częściowo zombardowanego budynku Gwarno tam było i nawet wesoło, zanim nie pogaszone światła. Spało się w rzędzie, w barłogu na surowej podłodze. Nigdy jeszcze nie spałam w tak załodnionym pomieszczeniu, choć nie od razu mogłam usnąć. Najpierw poczułam, jak biegnie mi coś po twarzy, potem po ręce, nagle ukućle w tyłek. Postawiono mnie na równe nogi! Ktoś słysząc to, zapalił światło. „Tu są pluskwy” — powiedziała jakaś kobieta. „To nie pluskwy, to tylko tarakany”.

Dokończenie na str. 8

„Staszic”

HISTORIA dzisiejszego I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Lublinie sięga roku 1586 kiedy o Stanisław Warszewicki, filolog pisarz religijny i tłumacz założył w tym mieście kolegium jezuickie którego został rektorem. W roku 1777 Komisja Edukacji Narodowej przekształciła je w Lubelską Szkołę Wojewódzka od roku 1781 nazywana Szkoła Wydziałowa. Jej rektorem był pisarz działacz polityczny i publicysta Kuźnicz Kollatałowski. **Franciszek Salezy Jezierski**

Po trzecim rozbiórce Polski i zajęciu Lublina przez Austriaków Szkoła Wydziałowa została przekształcona w c.k. gimnazjum. W czasach Księstwa Warszawskiego przemianowano ją na Szkołę Departamentową, a w roku 1813 na Szkołę Wojewódzka. W roku 1832 otrzymała nazwę Tymczasowej Szkoły Wydziałowej w roku 1833 została gimnazjum wojewódzkim, następnie Liceum Lubelskim. W roku 1851 dyrektorem szkoły został **Józef Skłodowski**, dziadek Marii Skłodowskiej-Curie.

Po klęsce powstania w roku 1865 liceum zmieniono w siedmioklasowe gimnazjum. Szkoła wydała takich ludzi jak **Aleksander Głowacki**, **Aleksander Świętochowski**, **Julian Ochowicz**, **Wacław Nalkowski**.

Po rewolucji w roku 1905 **Gracjan Chmielewski** zorganizował polską szkołę średnią która w roku następnym zyskała nazwę Ośmioklasowa Filologiczna Prywatna Szkoła Polska im. Staszica. 7 maja 1919 roku Chmielewski przekazał szkołę państwu i otrzymała ona nazwę Państwowe Gimnazjum imienia Stanisława Staszica w Lublinie.

Gimnazjum im. Staszica początkowo mieściło się w gmachu przy ul. Bernardyńskiej (dziś Jarosława Dąbrowskiego) następnie przy ul. Zmigród na rogu z ul. Królewska. W roku 1918 po rozbrojeniu Austriaków szkoła została przeniesiona do gmachu dawnego rządowego gimnazjum rosyjskiego przy ul. Narutowicza 12. Od maja 1933 roku mieści się we własnym gmachu wybudowanym przy Alejach Racławickich w latach 1931-34. Dyrektorem szkół w latach 1923-28 był **Kazimierz Tułodziecki**, a latach 1930-32 i 1933-39 **Tadeusz Moniewski**, rozstrzelany przez Niemców 23 grudnia 1939 roku.

Ustawa z 11 marca 1932 roku doprowadziła do zmiany ośmioklasowego gimnazjum na czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum o profilach humanistycznym i matematyczno-przyrodniczym.

W sierpniu 1944 roku **Tadeusz Lewacki** otrzymał polecenie reaktywowania I Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Pierwsze lekcje odbyły się 5 września 1944 roku.

16 października 1944 roku część gmachu przekazano nowo powstałemu Uniwersytetowi Marii Curie-Skłodowskiej.

Przełomowy był rok 1970. UMCS przeniósł swe zakłady do nowych budynków, szkoła męska przekształciła się w koedukacyjną.

W latach 1972-85 w olimpiadach przedmiotowych brało udział około 1000 uczniów, szkoły, ponad 120 zostało laureatami lub finalistami. W ostatnich latach około 90 proc. absolwentów dostawało się na studia a średnia ocen maturalnych wahała się od 4,01 do 4,07.

W uznaniu zasług I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Lublinie otrzymano w roku 1973 Medal Komisji Edukacji Narodowej a następnie Medal Nauka w Służbie Ludu i złota odznaka honorowa „Zasłużonemu dla Lublina”.

Obecnie dyrektorem I Liceum im. Stanisława Staszica w Lublinie jest **Alicja Grązewska**.

20-21 września 1986 roku odbywa się zjazd absolwentów wszystkich roczników szkoły.



Wspomnienia gimnazjalisty

Zygmunt Mikulski

SKAD ten numer w tytule? Taki miało Państwo we Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie po reformie szkolnictwa, która nastąpiła, dokładnie nie pamiętam, w pierwszych latach trzydziestych. Nosiliśmy go na tarczach mundurów. Pan profesor Jan Dobrzański ułatwił nam zapamiętanie daty odkrycia Ameryki, podając, że jest o równie tysiąc większa od numeru „Staszica”.

To było jednak już w nowej — obecnej — siedzibie gimnazjum przy Alejach Racławickich 26. Poprzednia była na Narutowicza 12. Kto dziś pamięta, że ta ulica wcześniej nazywała się **Namiestnikowska**?

o opisanie awansu, którego doznałem jako „gimnazjalista”. Już nie chodziło o sam szczebel wyżej w edukacji. Zostałem wprowadzony w świat mi nie znany, nie zawaham się powiedzieć, że wprost tajemniczy, leżący gdzieś powyżej dotychczasowych doświadczeń uczniowskich, otwierający jakiś nieokreślony szereg kultury, wiedzy, stylu życia. W szkole powszechnej jeden nauczyciel był od wszystkich arytmyk, przyrod, języków polskich, tu od każdego przedmiotu był inny. A nawet i oni się zmieniali, czyli trzeba było modyfikować uczniowski sposób postępowania, bo osobowość wykładowcy, jego nawyki i obyczaj nie są tu bez znaczenia. Czulem jednak, że tych trochę wiadomości, jakie zy-

wanych, że nawet tytuł „kolega” nie był do przyjęcia. Chętnie mówiliby się „pan”. Bo z profesorem rozmawiać niemal jak równy z równym, to jakim zasobem wiedzy trzeba było dysponować? Nawet tych — już nie rozmów — dyskusji, debat, rozpraw się nie podслуchiwało. Z pewnością ani słowa nie daloby się zrozumieć. Gdybym te nazwiska wówczas znał, byłbym przekonany, że to **Kartezjusz**, **Kanty** i **Schopenhauer**!

No tak, ten dziedziczyk (zdrobnienie, oczywiście, pochodzi z pozycji dzisiejszych, wówczas ani się śniło takie spostonowanie) był też miejscem/rekreacją, odpasu od koniugacji, deklinacji, dwutlenków węgla, siatek Molweidego i Merkatora. Cała kilkunastoletnia ruchliwość przez trzy kwadransy krepowana w sali szkolnej tutaj doznawała rozprężenia i zgody na swobodę. No więc byli „Tatarzy”, „Kozacy”, „kowboje” i „bandziory”, każdy przed następnymi lekcjami chciał się wyaktorzyć na zapas. Szczególnie odnosiło się to do **Zygmunta Kałużyńskiego**, który już wówczas, nawet w zajęciach ludycznych, wykazywał skłonność intelektualistyczną, czyli „odszczepleniście” od normy. Mianowicie zaangażowawszy kilku kolegów, odgrywał sceny z lektur szkolnych, tekst literacki przekładając na żywy obraz. Te teatralne adaptacje były wzbogacane inwencją reżysera, znacznie wykraczającą poza tekst zasadniczy, ale nie inna mogła być zabawa **Kałużyńskiego**, który trochę później wykazywał zainteresowanie dla teatru w nieinfantylnym stopniu. Ze w końcu stał się krytykiem filmowym, było zaskoczeniem. Jakby miotacz zgłoszony do rzutu dyskiem pojawił się na boisku, ale stanął do skoku o tyczce. W **Kałużyńskim** — co zresztą zostało zauważone — nie tylko przeze mnie — istniał ten, dziwny mieszmasz erudycji, inteligencji, nawet powagi (uczyl się bardzo dobrze) z upodobaniem chłopackowatymi, realizowanymi ku zaskoczeniu otoczenia. **Montesquieu** w krótkich spodenkach. Co zresztą zostało mu do dziś. W swoim żywiole jest jako enfant terrible krytyki, publicystyki, polemiki. Tak był. **Dowcipny**, docinający, wyprzedzający atak.

Dyrektorem był wówczas **Zygmunt Kukulski**. Chromy, chodził z laską zakończoną gumową nasadką, jego przejście szkolnym korytarzem słyszało się jako trzask. Jednym z dyrektorów (zresztą krótko za mojej w szkole obecności nim był), którego nie widziałem na lekcji, nawet na zastępstwie nieobecnego nauczyciela. Dziwne. Kiedy później z jego nazwiskiem spotkałem się jako organizatora życia naukowego, wydawcy, osoby zajmującej ważne miejsce w kulturalnym środowisku Lublina, nie mogłem sobie jednego z drugim zestawiać. **Kukulski** był dla mnie wyłącznie dyrektorem szkoły, a nie żadnym prezesem towarzystwa, kimś wykazującym aktywność poza terenem prowadzonego przez siebie „Staszica”. Musiał być jednak na widoku, skoro **Czechowicz** uwzględnił go w swojej facecjonalistycznej książeczce zawierającej

Jerzy Pleśniarowicz

EGZOTYKA DZIECIŃSTWA

*Na ekranie rozszalałe konie,
dzika preria, wyrzwały, halasy,
Tom Mix znowu dyliżans dogonił
i bandytę złapał na laso.*

*Groźne skalpy, dzikie tomahawki,
wódz Apaczów w zasadzkę nas schwycił!
Mayne Reid nie zwiódł nas przypadkiem?
Winnetou czy ocali nam życie?*

*Mala wyspa i wielki ocean,
Defoe'go opowieści stare.
Na pudełku herbaty Best tea
śmieszny Chińczyk, na pewno mandaryn.*

*Rzadką markę, stempel z Ekwadoru
ryzykownie ktoś wczoraj zamienił
na Przyładek Dobrej Nadziei
z fioletowo-niebieskim kolorem.*

*Pozbierane z dalekiego świata
wspomnień echa cieszą się i smucą.
To już dawno, teraz jest już nie tak.
Do dzieciństwa dziś nie można wrócić.*

Wiersz napisany przez 14-letniego ucznia, drukowany w „Kuźni Młodych” w roku 1934.

Zacząłem tam chodzić — sam już nie wierzę — w roku 1929. Dla mnie rok szkolny zaczął się... zmianą czapki. Przed moim przyjęciem do szkoły nosiło się czapki koloru amarantowego i taką mi zafundowano na rozpoczęcie roku, tymczasem zaraz na początku ten amarant zmieniono na błękit, tak więc poprzednia czapkę miałem tylko dla fasonu przed lustrem. Ale próżno starałbym się

skuję w trakcie nauki, to zaledwie wstęp, przedsmak prawdziwej wiedzy, która — do licha — nie wiadomo, czy będzie kiedyś mi dostępna.

Ba, a uczniowie klas wyższych? Jeśli na dużej przerwie ktoś z nauczycieli, spacerując po dziedzińcu, prowadził rozmowy z siódmo-, ósmoklasistami, traktowało się ich jako tak wyawanso-

fikcyjne lubelskie nowości wydawnicze. Oto z jakim anonsiem: „KUKULSKI Z dr. Piama wszystkie napisane i nienapisane. Wydane przez Pestalozziego, tom jeden, rozmiar 1 mr. kubiczny, str. 1000000. Polecone dla wszystkich bez wyjątku. (Warto nabyć.) Lublin 1931”.

Mówię, że go na lekcji nigdy nie widziałem, w przeciwieństwie do następnego dyrektora. Wojciechowski (imięcia nie pamiętam, nie mylić jednak ze Stefanem, geografem), który był bardzo krótko, a uczył mnie łaciny. Początków. Ta łacina, legendarny postrach niższych klas („Czekajcie, od czwartej będzie łacina”), w podaniu Wojciechowskiego była wprost miłą i łatwą bajeczką. Nic z tego kosmaru, którym straszono młodszych chyba dla podniesienia własnego autorytetu.

W tym samym budynku co szkoła znajdował się sąd. Jaki? Nigdy nie wiedziałem. Wiem tylko, że ciągle na udrę mieliśmy z jego wożnym. A mieliśmy na skutek tego, że ze szkoły można było wyjść przez westybul sądu (nie wiem, dlaczego choćby zamknięciem drzwi nie oddzielono tych dwu instytucji) i często — więcej zresztą dla fantazji i oryginalności, niż dla przekory — tamtędy chodziliśmy. To budziło protesty woźnego, którego chyba i osobista powaga jako stróża tamtego porządku ciała na tym, że kilku łapserdaków lekce sobie waży rygor jurydycznej instytucji.

Jakimś trafem — co zresztą nie sprzyja młodości? — znaleźliśmy się w posiadaniu pomniejszających lusterek. Reklamówki Wedla, czy coś takiego. Miały tę właściwość, że bardzo dokładnie odbijały światło razem z narysowanym na nich wzorem. Rysunek albo napis — oczywiście na lusterku w negatywie. Można sobie wyobrazić, jak nieskrępowane wynikały stąd efekty. Taki „zajęczek” trwał niedługo, w każdej chwili mógł być zgaszony, a przede wszystkim nie było wiadomo, skąd pochodzi. Nie, nie żadne obscena, ale swobodna gra tych słonecznych placków światła na murze dawała — jakżeby nie — sporo satysfakcji. Tyle, co druciane łamigłówki. Zawsze po lekcjach trafiał się magik, który przy bramie sprzedawał takie z drutu hokus-pokus, polegające na znalezieniu sposobu rozłączenia dwóch części konstrukcyjki bez naruszenia drutu. Kasztanie do dziś stojący przed bramą, zaświadczy o prawdziwości tych słów!

W czerwcu 1933 roku „Staszic” został przeniesiony do własnego budynku w Alejach Racławickich. Dlaczego tak na krótko przed końcem roku, a nie z początkiem następnego? Podobno skończył się okres dzierżawy wynajmowanego budynku, a zostać te kilka tygodni dłużej znaczyło rozpocząć nowy okres wynajmu, co się finansowo szkole nie opłacało, tak więc zasiedlenie nastąpiło przed wykończeniem nowego gmachu. Osobliwa sceneria. Parkiet jeszcze nie położony, chodzilo się po betonie, między piętami dziury (na rury centralnego ogrzewania?), drzwi bez klamek, o zamknięciu mowy nie ma.

A w ogóle sam budynek wówczas za miastem, niemal na pustkowiu; tony orkiestry prowadzącej kolumnę uczniów w pierwszym dniu szkolnego roku wsiąkały w ten pusty przestwór zwiewane przez wiatr. Dziwnie to wyglądało. Byliśmy prawie wiejską szkołą. I to nasilenie edukacji w miejscu, gdzie raczej Kasia powinna pasać gaski. Ale oczywiście miało to swoje dodatnie strony. Przede wszystkim stan przestrzennego posiadania. Boisko, bieżnia, skocznia. Na Narutowicza było to bardzo skąpe, ściśnięte murami prawie śródmieścia, tutaj aż wolać Wergiliusza z jego „Georgikami”.

Ale gimnazjum wówczas to nie był tylko zakład dydaktyczny, przedsiębiorstwo do przekładania wiadomości z podręczników i wykładów w uczniowskie głowy. Było to swoiste pedagogium, z założeniami i z upodobania nauczycieli kształcące wielorako, rozwijające wszystkie strony osobowości młodego człowieka. Nie kończyło się na dzwoniącym zamykającym lekcję. Odprowadzając

profesora do pokoju nauczycielskiego, prowadziło się z nim rozmowy niekoniecznie w ścisłym przedmiocie lekcji, również w oparciu o lekturę ponadobowiązkową, co przy orientacji ucznia, jeśli większej niż przeciętnej, nie obywało się bez satysfakcji i pedagoga.

W tym sensie nie mogło nie być kilku profesorów, którzy wywarli wpływ na ukształtowanie się mojej osobowości nawet w wymiarze pozaszkolnym. Już nie byłem uczniem, a uznanie i szacunek dla nich odzywały się we mnie przy każdej wywołującej to okoliczności. Może nawet trochę i strach, jakbym jeszcze, już po maturze, mógł być przez któregoś z nich wywołany do tablicy.

Ludwik Zengteller. Nie mnie wystawiać cenzurki profesorom, choćby najbardziej dziękozyjne, ale trafność tego spojrzenia wstecz wymaga przytoczenia pewnych danych. Wykładał język francuski, niemiecki i propedeutykę filozofii. Horyzont umysłowy niezwykle szeroki, żaden skład wiedzy obszernej, a martwy. Czy jest do pomyślenia, żeby wykładowca o takiej specjalizacji zastąpił np. nieobecnego polonistę i poprowadził lekcję w sposób szczególnie interesujący? Zengteller to potrafił. Może nie wyszłoby tak na temat dwusiarczku węgla i równania kwadratowego, ale w problemach humanistycznych był niemal biblioteką. Wiem, że w czasach swojej wczesnej młodości miał coś z „Zielonym balonikiem”; później u Boya w „Znaszli ten kraj?” przeczytałem, że ktoś z tego balonikowego grona wylał jajecznicę na ścianę i że z pewnością była to sprawka „Ludwisia”. Specjalnie podkreślam czas wczesnej młodości bohatera tej jajecznicy, by nie łączyć ekscesu z niezwykłym charakterem umysłowości dojrzałego doktora filozofii.

Janina Pliżyńska była nie tylko rozmiłowaną wielbicieleką kultury antycznej, nie tylko posiadaczką obszernej w tym względzie wiedzy, ale również niezwykle fortunnym dydaktykiem. Pod jej wpływem klasa doznała naukowego awansu, łacina przestała być zmorą, stała się nawet terenem rywalizacji między niektórymi uczniami. „Gnio-tła”? Tak, ale ile z tego „gniecenia” do dziś zostało w pamięci uczniów na temat składni cum narrativum czy perypetii Tezeusza. No, nie chcę wyolbrzymiać, nie tak wiele, ale jeśli nawet jedna dziesiąta tego, co kursowało na lekcjach filologii klasycznej — tak pani doktor nazywała swój przedmiot nauczania, taki napis figurował na drzwiach jej sali wykładowej — to wystarczająco świadczy o skuteczności jej wykładów i wymagań.

A Jan Dobrzański? Chyba nikt z profesorów nie miał większego autorytetu u uczniów. Wiadomo,

że żadna klasa to nie przesadnie zdyscyplinowany zespół; trochę ukradkowych figli należało nawet do reguły tego zakonu, ale nie takiego nie miało miejsca na lekcjach historii. Wcale nie przez jakąś administracyjną presję ze strony wykładowcy. Wystarczyło, żeby był, a czuło się, że nie wypada schodzić na pozycje zachowań się niedorośliwych, nawet tych tolerowanych, tych konwencjonalnych, tych widzianych przez palce. Miał niezwykle takt pedagogiczny i to zobowiązywało kilkunastu młokosów do odpowiedzi tym samym stylem postępowania. Nie mam doświadczeń z terenu UMCS, bo nie byłem jego studentem, ale nie wyobrażam sobie, żeby doktor Dobrzański nie dał się poznać z tej strony jako prorektor tej uczelni.

Czesław Zalewski prowadził lekcje gimnastyki Umiał propagować kulturę fizyczną. Pod jego kierownictwem lekkoatletyczna reprezentacja „Staszica” zyskała pierwsze miejsce w rozgrywkach międzyszkolnych z taką przewagą, że mogliśmy wydać mecz wszystkim pozostałym szkołom Lublina z całkiem realnym widokiem na wygraną.

Wiem, że zabrzmi to paradoksalnie, ale muszę dodać, że znajdowałem się w klasie, w której zespół uczniowski wywarł na moje zainteresowania nie mniejszy wpływ niż grono nauczycielskie. Przede wszystkim dzięki Jerszemu Pleśniarowiczowi. Zetknąłem się z nim wcześniej, jeszcze w starym budynku szkoły i od razu zauważyłem jego intelektualną inność w stosunku do „szarej masy” sztabackiej. Już dla dwunastoletka obraz nie był obrazem, ale — jeśli przedstawiał widok wsi — pejzażem. Szczegół drobny, ale jakże charakterystyczny. Później z Pleśniarowiczem spotkałem się ponownie, już w nowym budynku. Był „naczelnym redaktorem” szkolnej gazetki ściennej, do której pisywali również Zygmunt Kalużyński i Witold Hanzel, dziś zupełnie nieznani, przedwcześnie zmarli, niezwykle oryginalny poeta. Tak w tej grupce, łącznie jeszcze z Wiesławem Choińskim (późniejszy ojciec Krzysztofa, autora sztuk dramatycznych), przeżywałem młodościowy „Sturm und Drangperiode”.

I dziś, kiedy przechodzę Alejami Racławickimi koło I Liceum im. Stanisława Staszica, nie mogę oprzeć się chęci, by dłuższe spojrzenie umieścić na frontonie tego budynku w złudnej nadziei dosłyszenia jeszcze jakiegoś echa tych jakże pamiętnych czasów. A także przypomnieć sobie wiersz Tuwima „Nauka”, czytany przez nas wtedy, z apostrofą do Pana Boga:

Proszę! Zostaw mnie na drugie życie,
Jak na drugi rok w tej samej klasie.

Witold Hanzel

STAMTĄD

*nad ojczyzną uspiomych skra flet borealny
dymi gwiazdzisty tryl fioletry tłą ogrodem
powitania zaklęcia dtoni modlitewnej
raj dziwny kraj dziewiczy wyspy epizodów
pobudko*

*noc niebieski globus pas szyb czernią śpiewa
po domkach maleńkich miesza lakmus dzień
krasnoludek co dzień owiewa film śniegiem
i kremowe mapy inne są to wiem
pobudko*

*plonie ład miłości językiem zegarów
biegnie wenus z nieba dzwoni odjazd pierś
lady epizodów gra hymn pożegnalny
przybliża świat mroźny codzienność śmierć
pobudko*

Wiersz napisany przez 18-letniego ucznia, drukowany w „Pionie” w roku 1937.

Ekran i widz

Aerobic do siódmym potów

AMERYKANSKI film „Boskie ciała”, nakręcony przez Lawrence’a Dane przy finansowym współudziale „Playboya” jest jednym z największych knotów kina rozrywkowego, jakie oglądałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat. I nie chodzi tutaj już o to, że sama intrza „Boskich ciał” jest uboga, fabuła prawie nie istnieje, a końcowa pointa — wyswiechtana. Ostatecznie w filmie rozrywkowym liczy się przede wszystkim tempo muzyka, taniec, rytm (ów podakórny rytm filmowego spektaklu), błyskotliwy gag (bądź to słowny, bądź sytuacyjny). Jeżeli któregoś z tych elementów zabraknie, film staje się dziełem kalekim, nie uratuje go nawet doskonale aktorstwo wykonawców ani renoma nazwiska reżysera. W „Boskich ciałach” aktorstwo nie istnieje w ogóle, zaś reżyseria sprowadza się do wymiaru szczerkowego...

Sam pomysł, niestety, nie wystarczy za film. Cieszą się od niedawna ogromnym powodzeniem w krajach zachodnich aerobicie, rozpropagowany szeroko przez aktorki filmowe: Sydney Rome, a następnie Jane Fonda, istotnie aż się prosił na temat dla kasowego filmu rozrywkowego. Tym bardziej, że aerobicie stał się z miejsca domeną kobiet, dziewcząt dbalych o podkreślanie swojej urody oraz seksu. Aerobic to także cała nowa gałąź mody odzieżowej: swoistej krzyżówki sportowego kostiumu z ćwiczebnym strojem baletowym, ubioru barwnego, podkreślającego walory młodzieńczej kobiecej sylwetki, a w końcu także — przynależność jego posiadaczki do „dyskotekowej społeczności”. W aerobicie liczy się nie tylko muzyka i sprawność fizyczna, ale właśnie także kostium. Stąd też podstawowe założenie realizatorów „Boskich ciał” — pokazanie pięknych, atrakcyjnie ubranych dziewcząt, ćwiczących w rytmie dobrej muzyki disco. Czyli atrakcja dla oka i dla ucha. Stąd pomysł filmu jako gigantycznego półtoragodzinnego teledysku do pokazywania na ekranie kinowym.

Fabula, jak się rzekło, nie jest w filmie rozrywkowym rzeczą najbardziej istotną; nikt nie oczekuje od niej specjalnej „głębi” ani żelaznej logiki; ma ona być po prostu kanwą, na której zręczny reżyser haftuje wraz z utalentowanymi wykonawcami cały ciąg atrakcyjnych scenek czy też malowniczych pokazów. Bardziej niż w jakimkolwiek gatunku filmowym, fabuła jest w filmie rozrywkowym jedynie pretekstem.

Tak więc nie ma co się dziwić, że w „Boskich ciałach” cała „historia” sprowadza się do tego, że oto trzy amerykańskie biuralistki, opanowane namiętnością do aerobicu postanawiają skończyć z nudnym maszynopisaniem i założyć w na wpół zrujnowanej, na peryferiach miasta leżącej hali aerobic-club pod nazwą „Boskie ciała”. Duszą owego przedsięwzięcia, a zarazem wybijającą się gwiazdą aerobicu, jest jedna z trzech dziewcząt, Samantha, niedoszła tancerka, którą darzy miłością tzw. porządny chłopiec, członek zawodowej drużyny futbolowej. Niestety, sukcesy „Boskich ciał” nie w smak są bogatemu klubowi „Sporting Life”, który w całkiem niesportowy sposób usiłuje wyeliminować z gry niewygodnego rywala, wykupując lokal wynajmowany przez dziewczęta i ich aerobicowych fanów. Dalej już rzecz rozgrywa się po amerykańsku. „Boskie ciała” wyzywają na aerobicowy pojedynek „Sporting Life”; ma on trwać „do upadłego”, to znaczy tak długo, aż w jednej z drużyn padną z wyczerpania wszyscy zawodnicy. Oczywiście, po wielu „wstrząsających” momentach Dobre triumfuje, a Zło ściele się pokotem na parkiecie, tonąc w strugach potu oraz zręczną, na pograniczu stanu przedzawałowego Sprawiedliwości staje się zadość a Miłość triumfuje.

I byłoby wszystko w porządku, i można by nawet darować reżyserowi zbyt już przejrzyście nawiązanie pomysłu pojedynku pomiędzy „Boskimi ciałami” a „Sporting Life” do słynnego filmu Sydneya Pollacka „Czyż nie dobiła się koni?” gdyby... Gdyby nie fakt, że „Boskie ciała” są filmem zrobionym tak strasznie bez połotu, bez pomysłowości, bez reżyserskiego talentu! Miałkość inscenizacyjnych pomysłów, długi, poprawny, zdjęcie granicząca z półamatorszczyzną, brak umiejętności wydobywania za pomocą kamery i dźwięku całej młodzieńczej pasji i młodzieńczej dynamiki aerobicu (poza kilkoma scenami samotnych występów głównej bohaterki w pustej telewizyjnej hali zdjęciowej), a wreszcie sprowadzenie końcowego pojedynku do ukazania panoramy spoconych ciał „zawodniczek” — to wszystko razem stawia „Boskie ciała” w kategorii filmów czwartorzędnych. A jedynym atutem pozostaje tu, niestety, sam tytuł filmu dużo więcej obiecujący, niż się okazuje w rzeczywistości.

Pewnie, ludzie w końcu pójdą do kina, żeby ten aerobic i te ciała obejrzeć, a pieniądze wpłyną do kasy, bo na bezrybiu i rak ryba, zaś polski widz, jak rzadko który, pożąda tej godziny barwnej iluzji. Ale nie zmienia to faktu, że film Lawrence’a Dane jest tylko potwierdzeniem starego wyeksploatowanego zdania krytyki iż dla stworzenia naprawdę dobrego filmu rozrywkowego trzeba być naprawdę doskonałym reżyserem...

M. D.

— Powiedz Kasiu, skąd ci to przyszło...
— Sama nie wiem, fascynuje mnie twórczość Kafki, dużo myślałam, ale nie wiem naprawdę, czy sen to był jakiś, czy wytwór wyobraźni. Sprzed lat. Jestem szczęśliwa.
— Ja też jestem szczęśliwa. Zjawia się ktoś piękny i mądry, i to w dodatku kobieta.
— Nie piernicz — uziemiła go natchnieniem a on roześmiał się.
— Ten epilog. Fascynujący. Są ludzie, których trzeba od razu wprowadzić na scenę. Nie mogą siedzieć, bo się zniechęca. Muszą grać. Wiesz, wydaje mi się, że teraz wybiła jakaś decydująca godzina dla teatru. Muszę się spieszyć, żeby nie uciekła bezpowrotnie, zanim zdążymy ją przeżyć, żeby nie zestarzała się i umarła, a pozostała w nas niezniszczalna. Ta godzina to sukces. Czuję to i boje się.
— We dwoje będzie nam raźniej — mrugnęła porozumiewawczo Kaśka.
— Porozmawiałabym z ludźmi, chcę, żeby podsunęli sami pomysł o... — nie dookończyła — wiesz, o czym, prawda?
— Tak...
— Umilkli, jakby minutą ciszy chcieli uciec tę śmierć, która chowała im się po kieszeniach, pakowała w buty, utrudniając każdy krok, obłapywała ciało śliskimi paluchami, obmywała je potem leku i obsesji, rozpanoszyła się we wnętrzu i żywiła duszą, zerała ją jak pasożyt pożera swojego żywiciela i wreszcie go unicestwia. Własną śmierć, w której posiadanie weszła z racji dziedzictwa po drugiej wojnie światowej i które to dziedzictwo po ostatnich wydarzeniach politycznych było tuż — tuż, na wyciągnięcie ręki niemal. Krok do przodu i będzie można dotknąć, zobaczyć, usłyszeć. I popaść w niebyt.
— Przepraszam, można? — weszła ciemnowłosa, blade dziewczyna, w wieku około dwudziestu trzech lat, jak na oko określiła Kaśka. — Wróciłam, żeby was stąd zabrać. Dziadek chce zamknąć szkołę.
— Idziemy już, Elu, dziękujemy.
— Pożegnali się przed budynkiem. Elka ze Stefanem odeszli razem. Kaśka wracała sama, pełna wrażeń. Ludzie, dyskusje, dialogi, scena, ruch, widowisko, wszystko, wszystko to pomieszane tłoczyło się do jej wyobraźni. Śmiała się i gadała do siebie jak dziecko. Czyżby to był ten Raj, którego niejasny jakiś symbol przewijał się we wszystkich jej marzeniach?

— Bóg wymyślił małżeństwo dla pary doskonałej; obciążona grzechem pierworodnym, a raczej karą za ten grzech, czyni z niego paradoks.
— Ale jest kupa wspaniałych, wolnych dziewczyn, które przychodzą do mnie.
— Ja na przykład, tak?
— Ty — Stefan uśmiechnął się — też idziesz do mnie. Tylko po raz pierwszy, właśnie teraz, tak się otwieram przed dziewczyną. Faka jesteś. Istnieje nieodparta ochota wygadania się przed tobą. Jesteś mądra i dobra.
— Co ty pleciesz? — zawsze, gdy ktoś prawil jej komplementy, reagowała podobnie.
— Wszedł do mieszkania... Włączył światło. Pomieszczenie było czyste, pedantycznie czyste, wypełnione świeżym powietrzem.
— Masz etatową sprzątaczkę?
— Mało tu przebywam i mało brudzę. Zresztą tylko bąby brudzą w domach, a później marudzą, że muszą sprzątać.
— Roześmiała się. Czula się luzno w jego towarzystwie. Było jej dobrze.
— Rozbiierz się. Tam jest łazienka. Możesz się wykapać, jeśli masz ochotę. Poszedł do kuchni. Weszła do schludnej wyłożonej błękitną gładką łazienki. Odkręciła kran, woda lała się z hukiem, zagłuszającym wszystko. Rozbierając się, śpiewała. Weszła do wody, zanurzyła się w niej cała. Wanna była duża i wygodna. Przymknęła oczy.
— Kaśka ty spisz?
— Ocknęła się. — Czy ja wiem, chyba rzeczywiście zdrzemnęłam się. — Nie wstydziła się swojej nagości w jego obecności, popatrzyła na nią i powiedział: — Dawno nie było u mnie takiej zgrabnej babki.
— Uśmiechnęła się. Odkręciła kran z gorącą wodą. Stefan rozebrał się i wszedł do wanny.
— Nic cię to nie obchodzi?
— Co niby?
— Siedzimy razem nady w jednej wannie i to w moim mieszkaniu.
— I to jest uroczę.
— Przywarł do jej ust. Była zachwycona tym pocałunkiem — delikatnym i zmysłowym.
— Chyba wyjdziemy stąd — zaproponował. — Robi się chłodno. Nabawił się kataru, zapachna nam nosy.
— Wszedł pierwszy, przyniósł duży, kolorowy szlafrok frotté, w który się owinęła. W pokoju na stoliku stała fiaska kieliszeki, konserwa, kanapki, ogórki herbata w szklankach, niepełnie wystygła.

— Nasze zdrowie — zaproponował Stefan.
— Zdrowie, brrr — prychnęła, parsknęła, zakrzuszyła się. — Co to za gówno?
— Gówno? — zdziwił się. — Bimberk.
— Domowego udoju?
— Udoju? — roześmiał się. — Ano, domowego — potwierdził.
— Piłam lepsze. A może już odwykałam. Brrr.
— Pożarła błyskawicznie kanapkę i kiszzonego ogórka.
— Zapalisz?
— Nie, nie palę... Obejrzą sobie swoją bibliotekę. Wygląda imponująco.
— Chyba nie teraz.
— Nie.
— Usiadła na jego kolanach. Objęła za szyję. Będzie to oznaczać zupełny upadek, albo zupełne odrodzenie — pomyślała.
— Pocałuj mnie. Robisz to uroczę.
— Inne rzeczy też robię uroczę.
— Podniósł ją na rękach, przyniósł za zaścieniony tapczan. Leżała naga, bezwstydną. On całował. Wydawało jej się, że oszaleje. Nigdy nie przeżywała podobnych uniesień. Wybuchnęła płaczem...
— Kasiu, Kasieńko — całował ją, zlizywał łzy, które sciekaly jej po policzkach. — Nie płacz, nie płacz.
— Sam miał oczy mokre. Kocham ją, kocham, naprawdę ją kocham. Odrodziła mnie moja złota, kochana, platynowa blondyneczka — myślał.
— Mocno zwarci, objęci, wtuleni w siebie, już uspokojeni, oddychali ciężko.
— Jesteś uroczę — wyszeptala.
— Ty też.
— Jesteś uosobieniem seksu.
— Nie żartuj. Kocham cię.
— Co ty mówisz?
— Mówię, że cię kocham.
— Dlaczego mówisz to szeptem?
— Żeby nikt tego nie usłyszał i mi ciebie nie wykradł. Ale nigdy się z tobą nie ożenie.
— Na pewno nie. — Roześmiała się.
— Nie wyszłabym za faceta o szesnaście lat starszego, i to z przeszłością.
— Masz rację. Jesteś bardzo rozsądna.
— Wstał i przyniósł niedopite herbaty. — Powiedz, ilu już miałaś facetów?
— Ty, jesteś drugi — sklamala.
— Tak? Jesteś bardzo porządna. A tamten pierwszy długo był z tobą?
— Rob. Ale nie pytał o niego, proszę.

— Ależ go kocham. — Roześmiała się.
— No, to nie jest z tobą tak żalostnie!
— A z ciebie co, taki kozak?
— Zakochałem się.
— W kim? — spytała przekornie.
— Moja siołka tajemnica.
— A co by było, gdybyś mi zafundował potomka?
— No cóż, byłbym najszczęśliwszym ojcem na planecie Ziemi, ale ty poróżczyłabyś się nieco.

— Powiem. — Chciała jeszcze o coś zapytać... Nie, nie chcę więcej usłyszeć — pomyślała. — Nie, to niemożliwe. Właściwie dlaczego by nie, co mi się stało, przecież go chyba nie kocham, nie powiem mu o tym. Muszę uzbroić się w obojętność. Zresztą nie jest ważne, jakim tonem mu powiem. Zmobilizowała się.
— Stefan, Ela jest w ciąży, w trzecim miesiącu — wyrzuciła jednym tchem. Pod grzywką poczuła krople potu.
— Ela? — spytał nieprzytomnie, odrzuwając się gwałtownie od tego, co robił. — Cholera...
— Stał milczący, patrzył przed siebie. Po kilku sekundach włożył ręce w kieszenie. Pochyliło to jego sylwetkę nieco do przodu, jakby kamień, który wpadł do serca był zbyt ciężki. Spojrzał na nią.
— Mam nadzieję, że nie przyszedł mi robić scen zazdrości.
— Nie. Chodź mi tylko o tę dziewczynę. Uczyniła ze mnie posępnika.
— Zostaw mnie samego.
— Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Na dole czekała Ela. Szara jak mysz — pomyślała Kaśka.
— Powiedziałaś?
— Powiedziałam.
— Po policzkach Eli spłynęły łzy.
— Dziękuję ci.
— Odeszła cicha, spłoszona, wyjękła, blade, nieszczęśliwa kurka — myślała Kaśka. — Idealny materiał na żonę: wierna, szlachetna, niewiele myśląca o sobie.
— Wieczorem zadzwonił Stefan.
— Muszę z tobą pomówić. Czekam na ciebie.
— Na dworze lało jak z cebra. Brzydka pogoda zwykle wróżyła coś złego. W mieszkaniu Stefana panował balagan. Była to pierwsza rzecz, która zaniepokoiła Kaśkę.
— Nie posprzątales — zauważyła zaczepnie, żeby jakoś zacząć rozmowę.
— Już nigdy nie posprzątam. Wyjeżdżam.
— Dokąd.
— Na razie do brata, do RFN, później może losy rzucą dalej.
— Wyjeżdżasz? Jak ci wszyscy repatrianci? — spytała przygnębiona.
— Szarzy repatrianci, szara emigracja z szarej ojczyzny — zamyślił się.
— Podniósł ręce do góry, jak to czyni schwytywany złooczyńca, uciekinier czy zdemaskowany zdradca. — Usiadł. Porozmawiamy spokojnie. — Zauważył, że była cała rozdygotana i przemoczona. — Zdejmij te mokre lachy i włóż szlafrok.
— Postawił na stoliku lampki, butelkę czerwonego wina, włączył magnetofon. Uspokoila się. Stworzył dawną atmosferę ciepła, bliskości.
— Dlaczego tak nagle wyjeżdżasz?
— Nagle? Dla ciebie może i „nagle”.

— No, a koncepcja teatru rockowego? — Koncepcja jest świetna, wiem, ale droga do sukcesu długa, zbyt długa, a w dodatku nie wiadomo, co będzie u jej kresu. Gdybym miał pewność, że stworzę teatr niezależny, będę miał wspaniałych aktorów, ludzi z ideą, mądrością, którzy mogliby grać za grosze, a nawet za darmo, zostałbym i walczył o zrealizowanie swoich marzeń. Ale jestem pewien zupełnie czegoś przeciwnego. Wiesz, momentami wydaje mi się, że jestem za mało zboczony, nie tak jak przystało na artystę — uśmiechnął się. — Weź jeszcze tworzywo, surowiec tej sztuki, są nim przecież ludzie, studenci. Kto teraz przyjdzie i bezinteresownie przyłoży się do robienia teatru. Toż to czysty mit.

— Dotychczas jakoś znajdowali się.
— Nic podobnego. Płaciłem im — powiedział twardo.
— Płaciłeś? Każdemu? Ile? — Kaśka była zaskoczona.
— Nie każdemu. Tobie na przykład nie. Tysiąc złotych od spektaklu, ale to za mało.
— To straszne. Nie wiedziałam o tym.
— Zebrałem w dziekanacie, w Estradzie, Domu Kultury. Wszędzie uśmiechali się życzliwie i mówili: „Panie Dobosz, gdzie pan żyjesz?”, albo laskawie coś tam wydzilił jak zgłodniałemu psu. Mam już dość tych wariactw, upokorzeń i... mam to wszystko w dupie, adieu — wzburzył się. — Możesz być pewna, że mój wyjazd nikogo nie zamartwi. Większość, zwłaszcza ci na stolikach, odetchną z ulgą.
— A Ela, co będzie z nią?
— Zabiore ją ze sobą...
— Mówiles jej o tym? — spytała zafasowana. Spojrzała na niego z sentymentem. Chyba faktycznie jest za mało zboczony.
— Nie, ale powiedziałem, że jestem szczęśliwy. Dzwoniłem. Na razie trudno mi się pozbierać, żeby z nią dłużej porozmawiać. Wiadomość o jej ciąży narobiła się na moją decyzję o wyjeździe zupełnie niezależnie. Jakiś dziwny zbieg okoliczności — zamyślił się. — Chyba, że — nieśmiało wtrącił po chwili — ty pojedziesz ze mną. Ciebie kocham.
— Kaśka milczała. Czekala, co powie dalej. Wyczuła to.
— Ela zabezpieczoną materialnie, dam jej mieszkanie, ubiorę w zachodnie ciuchy, ją i dziecko. Jest pracowita, da sobie rady. Ale ty nie pojedziesz, prawda? — spytał z ciężkim sercem.
— Nie.
— Nalał do lampek wina.
— Twoje zdrowie, Kaśka.
— Spojrzała na niego pytająco.
— Realizuj się, życzy ci powodzenia. W każdym razie będziemy ze sobą w kontakcie. Gdybyś nagle zrezygnowała z ideału służenia ludziom w tym kraju przyjedziesz do nas?
— Już powiedziałam.

— Nie, a koncepcja teatru rockowego? — Koncepcja jest świetna, wiem, ale droga do sukcesu długa, zbyt długa, a w dodatku nie wiadomo, co będzie u jej kresu. Gdybym miał pewność, że stworzę teatr niezależny, będę miał wspaniałych aktorów, ludzi z ideą, mądrością, którzy mogliby grać za grosze, a nawet za darmo, zostałbym i walczył o zrealizowanie swoich marzeń. Ale jestem pewien zupełnie czegoś przeciwnego. Wiesz, momentami wydaje mi się, że jestem za mało zboczony, nie tak jak przystało na artystę — uśmiechnął się. — Weź jeszcze tworzywo, surowiec tej sztuki, są nim przecież ludzie, studenci. Kto teraz przyjdzie i bezinteresownie przyłoży się do robienia teatru. Toż to czysty mit.

— Powiem. — Chciała jeszcze o coś zapytać... Nie, nie chcę więcej usłyszeć — pomyślała. — Nie, to niemożliwe. Właściwie dlaczego by nie, co mi się stało, przecież go chyba nie kocham, nie powiem mu o tym. Muszę uzbroić się w obojętność. Zresztą nie jest ważne, jakim tonem mu powiem. Zmobilizowała się.
— Stefan, Ela jest w ciąży, w trzecim miesiącu — wyrzuciła jednym tchem. Pod grzywką poczuła krople potu.
— Ela? — spytał nieprzytomnie, odrzuwając się gwałtownie od tego, co robił. — Cholera...
— Stał milczący, patrzył przed siebie. Po kilku sekundach włożył ręce w kieszenie. Pochyliło to jego sylwetkę nieco do przodu, jakby kamień, który wpadł do serca był zbyt ciężki. Spojrzał na nią.
— Mam nadzieję, że nie przyszedł mi robić scen zazdrości.
— Nie. Chodź mi tylko o tę dziewczynę. Uczyniła ze mnie posępnika.
— Zostaw mnie samego.
— Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Na dole czekała Ela. Szara jak mysz — pomyślała Kaśka.
— Powiedziałaś?
— Powiedziałam.
— Po policzkach Eli spłynęły łzy.
— Dziękuję ci.
— Odeszła cicha, spłoszona, wyjękła, blade, nieszczęśliwa kurka — myślała Kaśka. — Idealny materiał na żonę: wierna, szlachetna, niewiele myśląca o sobie.
— Wieczorem zadzwonił Stefan.
— Muszę z tobą pomówić. Czekam na ciebie.
— Na dworze lało jak z cebra. Brzydka pogoda zwykle wróżyła coś złego. W mieszkaniu Stefana panował balagan. Była to pierwsza rzecz, która zaniepokoiła Kaśkę.
— Nie posprzątales — zauważyła zaczepnie, żeby jakoś zacząć rozmowę.
— Już nigdy nie posprzątam. Wyjeżdżam.
— Dokąd.
— Na razie do brata, do RFN, później może losy rzucą dalej.
— Wyjeżdżasz? Jak ci wszyscy repatrianci? — spytała przygnębiona.
— Szarzy repatrianci, szara emigracja z szarej ojczyzny — zamyślił się.
— Podniósł ręce do góry, jak to czyni schwytywany złooczyńca, uciekinier czy zdemaskowany zdradca. — Usiadł. Porozmawiamy spokojnie. — Zauważył, że była cała rozdygotana i przemoczona. — Zdejmij te mokre lachy i włóż szlafrok.
— Postawił na stoliku lampki, butelkę czerwonego wina, włączył magnetofon. Uspokoila się. Stworzył dawną atmosferę ciepła, bliskości.
— Dlaczego tak nagle wyjeżdżasz?
— Nagle? Dla ciebie może i „nagle”.

— Powiem. — Chciała jeszcze o coś zapytać... Nie, nie chcę więcej usłyszeć — pomyślała. — Nie, to niemożliwe. Właściwie dlaczego by nie, co mi się stało, przecież go chyba nie kocham, nie powiem mu o tym. Muszę uzbroić się w obojętność. Zresztą nie jest ważne, jakim tonem mu powiem. Zmobilizowała się.
— Stefan, Ela jest w ciąży, w trzecim miesiącu — wyrzuciła jednym tchem. Pod grzywką poczuła krople potu.
— Ela? — spytał nieprzytomnie, odrzuwając się gwałtownie od tego, co robił. — Cholera...
— Stał milczący, patrzył przed siebie. Po kilku sekundach włożył ręce w kieszenie. Pochyliło to jego sylwetkę nieco do przodu, jakby kamień, który wpadł do serca był zbyt ciężki. Spojrzał na nią.
— Mam nadzieję, że nie przyszedł mi robić scen zazdrości.
— Nie. Chodź mi tylko o tę dziewczynę. Uczyniła ze mnie posępnika.
— Zostaw mnie samego.
— Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Na dole czekała Ela. Szara jak mysz — pomyślała Kaśka.
— Powiedziałaś?
— Powiedziałam.
— Po policzkach Eli spłynęły łzy.
— Dziękuję ci.
— Odeszła cicha, spłoszona, wyjękła, blade, nieszczęśliwa kurka — myślała Kaśka. — Idealny materiał na żonę: wierna, szlachetna, niewiele myśląca o sobie.
— Wieczorem zadzwonił Stefan.
— Muszę z tobą pomówić. Czekam na ciebie.
— Na dworze lało jak z cebra. Brzydka pogoda zwykle wróżyła coś złego. W mieszkaniu Stefana panował balagan. Była to pierwsza rzecz, która zaniepokoiła Kaśkę.
— Nie posprzątales — zauważyła zaczepnie, żeby jakoś zacząć rozmowę.
— Już nigdy nie posprzątam. Wyjeżdżam.
— Dokąd.
— Na razie do brata, do RFN, później może losy rzucą dalej.
— Wyjeżdżasz? Jak ci wszyscy repatrianci? — spytała przygnębiona.
— Szarzy repatrianci, szara emigracja z szarej ojczyzny — zamyślił się.
— Podniósł ręce do góry, jak to czyni schwytywany złooczyńca, uciekinier czy zdemaskowany zdradca. — Usiadł. Porozmawiamy spokojnie. — Zauważył, że była cała rozdygotana i przemoczona. — Zdejmij te mokre lachy i włóż szlafrok.
— Postawił na stoliku lampki, butelkę czerwonego wina, włączył magnetofon. Uspokoila się. Stworzył dawną atmosferę ciepła, bliskości.
— Dlaczego tak nagle wyjeżdżasz?
— Nagle? Dla ciebie może i „nagle”.

— Powiem. — Chciała jeszcze o coś zapytać... Nie, nie chcę więcej usłyszeć — pomyślała. — Nie, to niemożliwe. Właściwie dlaczego by nie, co mi się stało, przecież go chyba nie kocham, nie powiem mu o tym. Muszę uzbroić się w obojętność. Zresztą nie jest ważne, jakim tonem mu powiem. Zmobilizowała się.
— Stefan, Ela jest w ciąży, w trzecim miesiącu — wyrzuciła jednym tchem. Pod grzywką poczuła krople potu.
— Ela? — spytał nieprzytomnie, odrzuwając się gwałtownie od tego, co robił. — Cholera...
— Stał milczący, patrzył przed siebie. Po kilku sekundach włożył ręce w kieszenie. Pochyliło to jego sylwetkę nieco do przodu, jakby kamień, który wpadł do serca był zbyt ciężki. Spojrzał na nią.
— Mam nadzieję, że nie przyszedł mi robić scen zazdrości.
— Nie. Chodź mi tylko o tę dziewczynę. Uczyniła ze mnie posępnika.
— Zostaw mnie samego.
— Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Na dole czekała Ela. Szara jak mysz — pomyślała Kaśka.
— Powiedziałaś?
— Powiedziałam.
— Po policzkach Eli spłynęły łzy.
— Dziękuję ci.
— Odeszła cicha, spłoszona, wyjękła, blade, nieszczęśliwa kurka — myślała Kaśka. — Idealny materiał na żonę: wierna, szlachetna, niewiele myśląca o sobie.
— Wieczorem zadzwonił Stefan.
— Muszę z tobą pomówić. Czekam na ciebie.
— Na dworze lało jak z cebra. Brzydka pogoda zwykle wróżyła coś złego. W mieszkaniu Stefana panował balagan. Była to pierwsza rzecz, która zaniepokoiła Kaśkę.
— Nie posprzątales — zauważyła zaczepnie, żeby jakoś zacząć rozmowę.
— Już nigdy nie posprzątam. Wyjeżdżam.
— Dokąd.
— Na razie do brata, do RFN, później może losy rzucą dalej.
— Wyjeżdżasz? Jak ci wszyscy repatrianci? — spytała przygnębiona.
— Szarzy repatrianci, szara emigracja z szarej ojczyzny — zamyślił się.
— Podniósł ręce do góry, jak to czyni schwytywany złooczyńca, uciekinier czy zdemaskowany zdradca. — Usiadł. Porozmawiamy spokojnie. — Zauważył, że była cała rozdygotana i przemoczona. — Zdejmij te mokre lachy i włóż szlafrok.
— Postawił na stoliku lampki, butelkę czerwonego wina, włączył magnetofon. Uspokoila się. Stworzył dawną atmosferę ciepła, bliskości.
— Dlaczego tak nagle wyjeżdżasz?
— Nagle? Dla ciebie może i „nagle”.

DEBIUT

METAMORFOZY

Barbara Jeżewska

Redagują: Urszula Gierszon, Urszula Jaros, Grzegorz Pernach, Wojciech Próchniewicz, Nina Sikora. Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.



Rys. Edward Ingłot

Ochzycie!

Dokończenie ze str. 3

— poprawiła ją druga. Trudno wprost było szczerze uwierzyć, ile tych czarnych stworów uciekało w popłochu do swych kryjówek w szpachach rozeschniętych starych podłóg i popękanych od wstrząsów ścian.

Wkrótce potem w moich włosach zagnieździły się wszy... Widziałam już wszystko, ale po raz pierwszy przyszło mi walczyć z plagą robactwa, któremu sprzyjała nędza i brud. A ja miałam bardzo długie warkoczki, których mama nie pozwalała ścinać. (Lubiła gdy za jej córką wszyscy się oglądali; zwykła kobieca próżność.)

Mimo przydziału na piśmie upoważniającego nas do zajęcia ponemieckiego mieszkania, niemal przez całe lato przebywaliśmy w starej stodole, przez której podziurawiony dach prześwitywało nieskazitelnie czyste, błękitne, a czasami pochmurne niebo. I tak nam mijały tygodnie i miesiące. Wniosłyśmy sprawę do Sądu Powiatowego, gdyż nawet milicja bezradnie rozkładała ręce, nie mogąc sobie poradzić z ludźmi bezwzględnie zaciętymi, którzy samowolnie zajmowały ponemieckie mieszkania. Tacy miejscowi „ważniacy” nazywali nas „Rusakami”. Tam z kolei, na Kresach, miejscowi też mieli już dosyć Polaków. Kompletne rodziny umiały sobie jakoś radzić. My z matką i młodszym bratem czuliśmy się całkiem zagubione.

Dopiero teraz rozumiem, jak wielką ostoję stanowi ojciec. To cały fundament, bez którego wszystko się zawala i rozpada. Brak ojca odczuwałam niemal do bólu. Matka wydawała mi się bezradna i niezaradna, co gorsza, że i mnie traktowała wciąż jak dziecko i nie we wszystko dawała się wtrącać.

Tymczasem dookoła kipiało życie. Rzeczywiście wojna się skończyła, a my, wciąż jeszcze bezdomni w tej starej stodole z niepokojem oczekiwaliśmy na wyrok losu. Tym bardziej odczuwałam brak najbliższych, z którymi kojarzyło się moje dzieciństwo, a szczególnie ostatnie lata tulaczki. Czulałam się jak roślina silą wyrwana ze swego miejsca, rzucona bezmyślnie byle gdzie. Część moich korzeni pozostało tam, na wschodzie...

Ale człowiek przeżyje wszystko. Jesienią 1945 roku, po tylu perypetiach, wprowadziliśmy się wreszcie do (o dziwo!) normalnego, dwupokojowego mieszkania z kuchnią i szklaną werandą. Ale spokoju wciąż nie było. Już pierwszej nocy sen przerwał jakiś podejrzany wstrząs, stuk, głuchy łomot, trzask. Patrzyliśmy z matką na siebie, nic z tego nie pojmując, obie wciąż jeszcze pod wrażeniem wojny. Dopiero rano okazało się, że to nasza stodoła — jak gdyby czekała kiedy się wyprowadzimy — zawałiła się. Jej przegniełe stropy nie wytrzymały obciążenia i tak już rozsypującej się dachówki. Mogliśmy zginąć...

A jednak sam obraz odświeżonego wnętrza w dość dużym, jasnym pokoju, okna z widokiem na miasto, świeżymi firankami, jakiegoś choćby polnego kwiatka w dzbanku na wyszywanej serwetce na stole — uspokajał człowieka. Skołowane myśli same zaczęły się ukladać. Zza ściany dołatywała miła, znajoma melodia, a w zakamarkach obolałej duszy zapaliła się iskierka nadziei, budziła chęć do życia. Gdyby nie lata wojny, nie doceniłabym chyba, jak istotną sprawą jest dla rodziny mieszkanie...

Czas robił swoje. Zbliżały się rany. Oboje z bratem przygotowaliśmy się do przyspieszonej matury. Matka ociągała się trochę z podjęciem pracy. Trzymała się starych zasad, że kobieta stworzona jest przede wszystkim na kapłankę domowego ogniska, a nie do pracy zawodowej. Dla dobra dzieci przelała swoje poglądy, zmuszona zresztą koniecznością...

Któregoś dnia w przepływie dobrego humoru sięgnęłam po zapomnianą gitarę. Okazało się, że swój ból, żal, tęsknotę można równie dobrze wyśpiewać, jak i wyplakać. Wśród młodzieży odzyskałam szybko dawną równowagę i pogodę ducha, ba, stałam się znów wesoła jak szczygieł, trochę próżna i kokieterijna. Przez kilka lat pełniłam funkcję gospodyni w naszej żeńskiej klasie i omal że nie przygłębłam na stałe do sceny, występując w jasełkach, i to w głównej roli Matki Boskiej.

Z przyjemnością powracam do tamtych przemitych wspomnień kiedy nasz dom rozbrzmiewał swojską muzyką. Szczególnie w długie letnie wie-

czory już z daleka można było usłyszeć tęskne piosenki przy akompaniamencie gitary, nieraz „rosyjskie melodie. Jagoda, moja koleżanka, grała na swym ogromnym akordeonie, który, zdawać by się mogło, ledwie utrzymywała taka była miniaturowa i drobna jak podłotek Dzikka, nasza rówieśniczka, niemal każdą melodię umiała drugim głosem podchwycić, a zawsze uśmiechnęty Antek na swoim starym bajanie wyczerpywał przepiękne czardasy, frontowe melodie, albo zaskakiwał niewyczerpanym repertuarem przedwojennych piosenek harcerskich i wojskowych.

Zadne dyskoteki ani dancingi nie zastąpią i nie przywrócą już nam tamtych niepowtarzalnych pełnych niewymownego uroku, długich wieczorów, brzemiennych w jakąś miłość platoniczną, tęsknotę niewypowiedzianą, nadzieje nie spełnione...

Jak większość dziewcząt z tamtych stron i „z tamtych lat”, byłam do przesady wesoła, rozśpiewana, niekiedy zapominałam, że jestem na ulicy i wciąż coś tam pod nosem nucilam. A kiedy pytano mnie: „Z czego się tak cieszysz?”, odpowiadałam: „A choćby i z tego, że żyję”. Z niespożytej energią angażowałam się zawsze na serio zarówno w szkole, jak i w kółkach artystycznych, należałam też do chóru, próbowałam nawet sama zorganizować kółko taneczne. Rozszalałam się nieprzeciętną żywotnością, pragnęłam z całych sił wypłynąć na jak najszersze wody, niczym wschodząca gwiazda, która jeszcze tak niedawno zdawałoby się, już gasła. Zachlustywałam się wolnością, zachwycałam się cudami przyrody, zauroczona byłam Wisłą, po której często pływałam parostatkami do mojej wspaniałej przyjaciółki Jagody, która mieszkała na stałe w Dobrzyniu. Opowiadałam jej o naszym pięknym Niemnie, nad którym zazwyczaj spędzałam całe



Autorka w 1946 r. Zdjęcie z Włocławka.

wakacje. Już się prawie otrząsnęłam z makabrycznych wojennych przeżyć, po których niewątpliwie gdzieś w głębi duszy, zostaje jakiś ślad. Jagoda też straciła ojca.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o jakby przybranym bracie — trzynastoletnim chłopcu, Niemcu, imieniem Arnold. Znalazliśmy go pewnej nocy w jednej z komórek na drzewo. Mama myślała, że to sowa lub puszczyk tak zawodził. Tymczasem to ten sam zły sąsiad, który nie chciał nas dobrowolnie wypuścić do przydzielonego mieszkania, wyrzucił chłopca, po którego rodzicach zagarnął cały dobytek, Noldek (tak go nazywaliśmy) bał się własnego płaczu i własnego cienia. Był tak zastraszony spuchnięty z głodu i płaczu, iż myślałyśmy z matką, że to niemowa. Dopiero gdy był już wykąpany, wypoczęty, najedzony i chyba przekonany, że tacy jak my ludzie krzywdy mu

nie robią, uśmiechnął się i zaczął wcale niezłe po polsku opowiadać o swoim życiu. Noldek nie chciał iść do polskiej szkoły ani też nie chciał słyszeć o wyjeździe do Niemiec. „Robotnikiem będę” — odpowiadał mamie gdy z nim rozmawiała o jego przyszłości. Na razie bardzo chętnie wyręczał niemal we wszystkim mamę, robił zakupy, pracował w ogródku, podpalał w piecu, sprzątał. „Ten wyn to się mamie udał” — żartowałałam. Jadł razem z nami przy stole. Tworzyliśmy jakby jedną rodzinę.

Zwykle wtedy, kiedy się wydaje, że człowiek już znalazł swoje miejsce w życiu, właściwą drogę, jak grogi z jasnego nieba spada nieszczęście. Kiedyś matka, wracając z pracy, wpadła pod ciężarówkę która jechała bez świateł. Kto zwrócił uwagę na zawsze sprawność i zdrowie? Dlaczego tyle, aż tyle, nieszczęść spada na jednego człowieka?

Wypadek matki miał niebagatelny wpływ na moje dalsze życie. Powinnam przerwać szkołę i podjąć pracę. Ale przecież tak niewiele brakowało do matury! „Wytrzymaj, moje dziecko spróbuj tę zimę beze mnie wytrzymać” — powiedziała matka, poddając się w szpitalu kolejnemu lamaniu nogi, której nie pozwoliła sobie amputować. Jej pobyt w szpitalu przeciągał się w nieskończoność. Znajdując się w tak ciężkich warunkach nie odrzuciłam pomocy opieki społecznej. Ze szpitala przynosiłam w szkolne teczki nie zjedzone przez chorych, cienkie, na pół zeschnięte kanapki powyginanego chleba z marmoladą, który był dla nas nie byle jakim przysmakiem. Rozdziałałam chleb sprawiedliwie. Przed koleżankami i kolegami, jak mogłam, ukrywałam nędzę w której znów się znalazłam. Puste żołądki burkliwie domagały się swoich praw. Zgrabiałe z zimna ręce z trudem utrzymywały pióro. Rano w wiadrach zamarzała woda.

W takich to właśnie warunkach poznałam mojego przyszłego męża. Przed nim nie udało mi się ukryć smutnej prawdy. Pewnego razu niosłam teczkę wypchaną chlebem, a on koniecznie chciał mnie wyręczyć. „Nie jest ciężka sama poniosę” — mówiłam, nie pozwalając sobie jej odebrać. Ale był tak uparty, że wyrwał mi ją siłą, aż się teczka otworzyła, a jej zawartość (nie pierwszej świeżości, powyginane kromki chleba) rozsypała się po całym chodniku. Zdumienie Staszka nie miało granic. Mnie z trudem udało się powstrzymać łzy. „Nie powinien o tym wiedzieć, nie powinien” — mówiłam ze złością sama do siebie, zostawiwszy go nad tą nieszczęsną teczką samego. „Nie lubię, gdy ktoś tak na siłę wpycha się w moje osobiste życie” — powiedziałam sobie i postanowiłam się ze Staszkiem nie spotykać. Koleżanki i koledzy też go wyjątkowo nie lubili. Kiedy czekał przed szkołą, wychodziłam lewym wyjściem od podwórka, na przelaj uciekałam przez boisko sportowe jakby w przecuciu nowej, innej kłeski. Nie go jednak nie zraziło, nie docierało moje „nie życzę sobie”, nie go nie zniechęciło. Specjalnie nieraz wychodziłam z domu, przeczuwając jego wizytę. Czekał cierpliwie całymi godzinami. Przynosił owoce i cukierki. Doganiał czasami na ulicy. Razem ze mną odwiedził kiedyś moją mamę, która była nim wprost zachwycona: „I cóż ty chcesz od tego człowieka? Niemłody, ale na kandydata do małżeństwa to w sam raz, a skoro, jak sama mówisz, jest właścicielem księgarni, widać, że nie żaden to pijak. Nawet nie pali! Oj, dziewczyno, nie przebieraj, żebyś nie przebrała!”

Byłam zaskoczona mamą wypowiedzią i trochę oburzona. Sądziłam, że mama chce się mnie pozbyć, że wydałaby mnie za mąż za pierwszego lepszego mężczyznę. Dziś na przykład, kiedy sama już wszystko przeżyłam, jestem pewna, że mama była pełna jak najlepszych intencji. Co prawda, myślała starymi kategoriami i nie wyobrażała sobie aby jej jedynaczka została starą panną. Mnie natomiast zupełnie się do zamążpójścia nie spieszyło.

Ucieszyłam się, słysząc, że Staszek też nie może się ożenić, gdyż najpierw chce wydać za mąż swoją owdowiałą siostrę, która została z małą, rozkoszną dwuletnią córką. Uzmówiłam sobie, że ma on na utrzymaniu nie tylko tę siostrę z dzieckiem, ale i matkę, słowem ma na kogo pracować! Zresztą już tylu chłopaków poszło u mnie w „odstawkę”, że nawet i moja mama o tym nie wiedziała. A jednak ze zdaniem mamy liczyłam się. Zaczęłam się wnikliwie przyglądać Staszko- wi i nawet doceniać to, że jest zaradny, że wcale nie jest taki stary, na jakiego wygląda. Zaimponował mi również tym, że był w partyzance...

(cdn.)

Krystyna Dubik

Praca wyróżniona w konkursie „Kamena” na wspomnienia z okresu 40-lecia Polski Ludowej (Red.)

DLA MARYNI

„Nowa Wieś” zamieszcza w ostatnim numerze II wydanie bogato ilustrowanego (z rysunkami J. Lipca z Zamościa) tomu drugiego (ładnie to brzmi: tom! Cztery stronicie pisma!) śpiewnika „DLA MARYNI”. Niech się gorsza cię pedagogiczne, ale skoro może nowa Wieś, to dlaczego nie może stara Kamena? Pośpiewajmy! Na przykład chórem przy biurkowej herbatce:

„Nie bede, nie bede
Ya plasku dawata
To by mi sie etoka
Pioskiem zasypal!”

„Ola moja ola
Mindzy olanamy
Al, zlapalam zlotdzia
Mindzy kotanamy!”

„Spadla z brogu potlucka sie
Opuchla jej nozka w pasie
Ta puchalina nie wygnadzila
Aż dziewiaty miesiac przydzil!”

„Jo sie bede opierala
Wy mnie chłopcy ciagle
Zaciagle mnie do stodoty
I dupe mi zrabcie!”

„Leclot chłop przez owies
A miot w portkach dziury
I mu wychodzilo
To co niesz kurzy!”

„Ozyż ze sie ozyż
Jak nos zdrowy korzyż

„Jak nos to portkach licha
Siedź za piecem cicho!”

„Takie to fuz takie
Moje milowante
Kiedy ty sie kładzies
Mnie bierz na stanie!”

„Moja matul dej mnie zamaz
Albo mi ja nitka zawiaz
Albo mi jo zalep glinom
Bo fut dziury nie wytrzymom!”

„Cóż to za dziecoczyna
Przez pola tak bryka
Troseczke mi dala
A z resztą umyka!”

„Widać to ci widać
Która panna daje
Bo jej prawca noga
Od lewej odstaje!”

„Jeden lubi schaby
arugi lubi mostek
a jo lubie cipek
bo tam nie ma kostek!”

„Siedziela na sośnie
Plakala zlotnie
Al, pytala sie mamy
Kiedy ti urosnie!”

„Moje dziecko nie wierzę ci
Kupie dzwoonek, przywiżę ci
jak cię chłopok będzie tyrot!
to ci dzwoonek będzie zbyrot!”
Komu sie podoba — dobrze, komu nie
podobą — też dobrze. W śpiewniku są je-
szcze bardziej pikantne strofy! Tak, taki
Nasza reklama „Nowej Wsi” jest zupeł-
nie bezinteresowna. Ostatecznie tygodnik
wydaje ta sama firma. (Tylko w Lublinie
w tej samej firmie potrafimy się gryść i
podsiawiać sobie wzajemnie nogi!)

Energia jutra: jądrowa czy słoneczna?

W RFN odbyła się dyskusja na temat możliwości rozwoju w tym kraju energetyki słonecznej. Tygodnik „Der Spiegel” stwierdza jednak, że ma to obecnie niewielkie szanse — na przeszkodzie stoja wysokie koszty i opór związanych z kolami wielkopremysłowymi polityków.

ZWYCIEŻKA promieniał. Peter Bauer pokonał 368 kilometrów, pozostawiając za sobą 58 konkurentów, ustanowił nowy rekord prędkości — i nie zużył ani litra benzyny! Osiągając 71 km na godzinę mercedes — srebrna strzała tankował energią słoneczną. I nic poza tym!

„Tour de Sol 85” zorganizowany ubiegłego lata na trasie między Jeziorem Bodeńskim a Genewą, pokazał, że można sobie pozwolić dzięki energii słonecznej. Ale jakie znaczenie miała ta demonstracja? Wielu obywateli energią słoneczną wydaje się dotąd być jedynie polem działalności znużonych majsterkowiczów i natchmionych naprawiaczy światła. Wrażenie to jest gorliwie pielęgnowane przez przeciwników wykorzystywania energii słonecznej.

Kto jednak rozwinie problem: „jajko czy kura”?

„Przedsiębiorstwo przemysłowe nie może pracować na potrzeby przyszłych pokoleń — mówi Eckenhard Schmidt, ekspert od energii słonecznej w AEG. — Musimy obecnie produkować na rynek i zarabiać pieniądze!”

A więc, jeśli państwo życzy sobie energii słonecznej wówczas musi zadbać także o rynek zbytu. Czy państwo naprawdę chce techniki słonecznej? Wyraża się zdanie że deklaracje na temat energii słonecznej, które obecnie tak obficie płyną z ust polityków, nie są niczym innym jak pięknymi słowami spowodowanymi Czarnobyłem. Najwyższe kręgi władzy politycznej i gospodarczej w RFN wydają się zbyt mocno przywiązane do energii jądrowej. Wysocy urzędnicy w resorcie ds. badań naukowych, który powstał jako ministerstwo energetyki atomowej, są zaprzysiężonymi zwolennikami tej energii. Przesławianie się byłoby dla nich poważną zmianą w życiu, a to przychodzi człowiekowi zawsze z trudnością.

mał braku perspektywy energetyki słonecznej, że nawet wielu uczonych zaczęło w to powoli wierzyć!”

Państwowa polityka wstrzymywania nie mogła jednak zapobiec temu, by technika słoneczna osiągnęła tymczasem zdumiewający poziom dojrzałości. We wszystkich trzech dziedzinach wykorzystania energii słonecznej osiągnięto istotne sukcesy techniczne; a konkretnie:

— przy produkcji baterii słonecznych, które wytwarzają prąd bezpośrednio ze światła słonecznego;

— przy konstruowaniu kolektorów słonecznych, które wytwarzają gorącą parę, wykorzystując światło słoneczne;

— przy biernym wykorzystaniu światła słonecznego, polegającym na odpowiednim projektowaniu nowych budynków i izolacji cieplnej starych.

Najbardziej fascynującym, ale zarazem najbardziej skomplikowanym technicznie sposobem wykorzystania energii słonecznej jest zastosowanie baterii słonecznych, które bezpośrednio przekształcają światło słoneczne w prąd

Na naprawdę frapujące pytanie, kiedy baterie słoneczne wniosą coś do produkcji prądu, eksperci odpowiadają powściągliwie. Ich zastosowanie jest obecnie ekonomiczne jedynie tam, gdzie nie mają konkurencji prądu z sieci. Dotyczy to położonych na uboczu domków letniskowych i myśliwskich, a także zagłówek; ponadto w ogniu słonecznym mogą być wyposażone radiostacje (jak ta himalajski Reinhold Messnera) czy też boje nawigacyjne. Dla takich potrzeb wytwórnia w Wedel od Hamburgiem, należąca do koncernu AEG, produkuje rocznie baterie słoneczne o łącznej mocy miliona watów.

W najbliższym czasie przewiduje się wyposażenie niektórych urządzeń domowych, jak radia, małe wiertarki lub zegary ścienna, w baterie słoneczne. Eksperci z Freiburga opracowali te i tuż innych pomysłów we współpracy z małymi i średnimi firmami.

Te, jak szybko ogniu słonecznym zajmą liczącą się pozycję w wytwarzaniu prądu, nie zależy już dziś od postępów w badaniach podstawowych. O wiele bardziej liczy się jakie technologie produkcyjne stoja do dyspozycji i o ile mniejszą się koszty po podjęciu produkcji wielkoseryjnej.

„Gdyby koszty nie odgrywały żadnej roli — podsumowuje prof. Goetzberger stan badań — moglibyśmy już dziś przekrywać znaczną część naszego zapotrzebienia na prąd energią słoneczną”.

Mniej skomplikowane niż ogniu słoneczne, za to już dziś nadające się do efektywnego wykorzystania, są kolektory słoneczne. Chodzi tu o płaskie skrzynie szklane, w których światło słoneczne wykorzystywane jest do ogrzewania wody.

Efekt ten może każdy odczuć w szklarni albo w zamkniętym, bogatym w okna pomieszczeniu oświetlonym przez słońce. Krótkofalowe promieniowanie słońca przenika przez szybę, oświetlone podłoże odbija długofalowe promieniowanie ciepłe które jest jednak zatrzymywane przez szybę. Temperatura w pomieszczeniu wzrasta.

Gdy wodę przepuszcza się cienkimi rurkami przez wystawione na słońce szklane skrzynie wówczas promieniowanie słoneczne rozgrzewa wodę. Na tej prostej zasadzie działają kolektory słoneczne. Najczęściej przez rurki absorbujące przepływa specjalny nośnik ciepła, który za pośrednictwem wymiennika ogrzewa wodę w zbiorniku.

Stopień sprawności takich kolektorów można podwyższyć przez specjalne uszczelnienie płyt szklanych, tak że oddawać one będą na zewnątrz jedynie niewielką część wychwyconego ciepła.

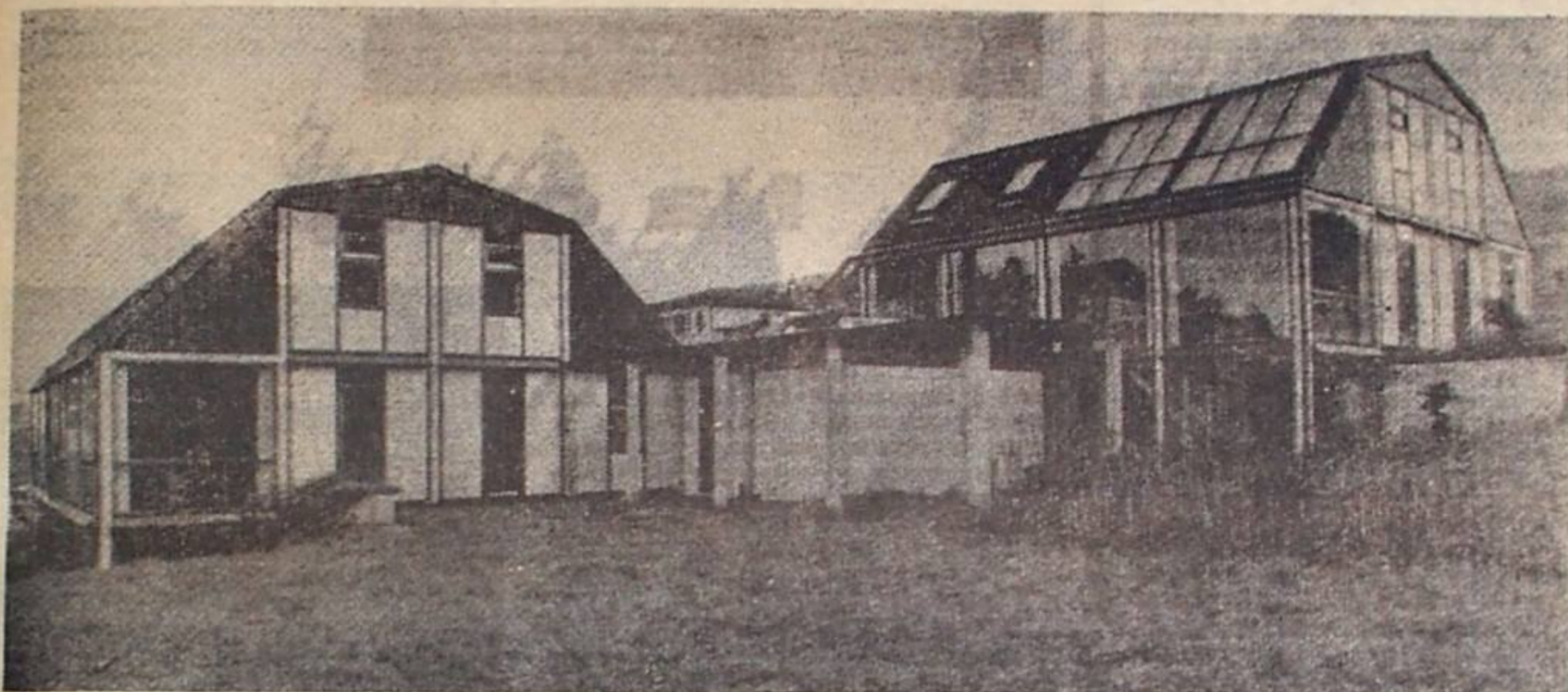
Możliwość zastosowania jest dosyć. Kolektor wystarcza do pokrycia potrzeb gospodarstwa domowego na ciepłą wodę do mycia, prania, zmywania i kąpieli. Przy tym woda nie musi być wcale wykorzystywana w tym czasie, kiedy świeci słońce. Dobra izolacja pozwala, jak każdy termos, na dłuższe utrzymywanie temperatury. W miesiącach zimowych pomoc może grzejnik gazowy.

Eksperci szacują, że przy użyciu oferowanych obecnie kolektorów słonecznych gospodarstwa domowe mogłyby pokrywać od 60 do 70 procent rocznego zapotrzebowania na ciepłą wodę. Oznaczałoby to możliwość oszczędzenia znacznych ilości oleju opałowego, gazu i elektryczności, które dzisiaj wykorzystywane są do ogrzewania wody. Zainstalowane dotąd w RFN 20 tysięcy kolektorów zmniejsza roczne zużycie oleju opałowego o 6 mln litrów. Ponieważ urządzenie takie kosztuje w firmie Reinharda 8 tys. marek (11 tys. wraz z montażem), czas jego amortyzacji, przy uwzględnieniu ulg podatkowych, wynosi około 10 lat.

Wariant „S” czy wariant „J”? Oba warianty są możliwe nawet jeszcze dziś, choć zbudowane już 19 elektrowni atomowych. Ale szybko trzeba podjąć decyzję o tym, czy pieniądze przeznaczone na dalszy rozwój energetyki pójdą na budowę nowych reaktorów, czy też miliardy zostaną zainwestowane w energię słoneczną.

Decyzja na temat takiej czy innej polityki energetycznej wykracza poza sprawę czysto ekonomiczną. Społeczeństwo, które wybiera słońce i oszczędzanie, nie żyje w stanie ciągłego zagrożenia swej egzystencji przez elektrownie jądrowe, nie przekazuje w spadku następnym pokoleniom odpadów radioaktywnych, natomiast odciaża środowisko z trujących substancji.

Do wyboru stoja technika, którą człowiek może opanować, i technika, która człowieka sobie podporządkuje.



Szwajcaria: dom ogrzewany energią słoneczną.

Fot. „Der Spiegel”

necznej. A oni w sprawach techniki, polityki i gospodarki energetycznej mają głos decydujący. Niemniej zasilane bateriami słonecznymi piece, lodówki i stacje pomp znaleźć można w krajach rozwijających się w tysiącach sztuk. Kilka tysięcy gospodarstw domowych pomiędzy Flensburgiem a Passau ma ciepłą wodę w kuchni i w łazience dzięki kolektorom słonecznym.

Republika Federalna Niemiec znajduje się obecnie na swego rodzaju „drożym”. Podobnie jak inne kraje uprzemysłowione, musi się zdecydować, jaki wariant rozwoju energetyki chce przyjąć na następane dziesięciolecie, czy:

— wariant „J”, związany z dalszą rozbudową energetyki jądrowej, czy też:

— wariant „S”, opierający się przede wszystkim na energii słonecznej i na oszczędzaniu energii.

Rzecznicy energii słonecznej nie mieli dotychczas żadnych sukcesów politycznych; posiadali jedynie kilku producentów tego typu urządzeń, niewielką grupę ich użytkowników oraz wielu adwokatów, głównie wprawdzie, ale bez siły przebicia w gospodarce.

Inaczej jest z przemysłem węglowym, lobbym gazowym, producentami prądu i budowniczymi elektrowni: ci mają pieniądze, władzę i wpływy. Mogą oni wabić i grozić miejscami pracy, zyskami z eksportu i podatkami. Nowicjusze ze swoją alternatywną energią słoneczną, mogą przy nich działać niewiele. Całkiem przekonująco brzmi przecież teza propagująca energię atomową, którzy stwierdzają że techniczne wykorzystanie promieni słonecznych jest zbyt drogie i dlatego niekonkurencyjne. W nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym drogie są te artykuły, które nie są wytwarzane wielkoseryjnie. A przecież gdyby udało się podjąć produkcję na dużą skalę, wówczas nie tylko obniżyłyby się ceny urządzeń, ale i rozszerzyłyby się pole ich zastosowania. To z kolei spowodowałoby nowy powstanie produkcji w wielkich seriach i spadek kosztów wytwarzania.

Od dziesięcioleci urzędnicy ci są przyzwyczajeni do myślenia tymi samymi kategoriami co ich klienci, odbiorcy dotacji reprezentujący wielki przemysł. Tylko wielkie przedsięwzięcia przynosiły prestiż i sukcesy jednym i drugim, urzędnikom ministerialnym i przemysłowcom.

Oto jak wyglądała wymuszona w latach siedemdziesiątych przez kryzys naftowy i przeciwników atomu ostrożna pomoc dla energii alternatywnych: urzędnicy z Bonn włożyli na przykład 90 mln marek w gigantyczny wiatrak, który w ogóle nie chciał funkcjonować. W ten sposób udowodniono, że na energię wiatru absolutnie nie można polegać...

Podobnie było z energią słoneczną: wiele milionów marek popłynęło na elektrownie słoneczno-ciepłone w Hiszpanii. Był to, przynajmniej w fazie początkowej, fałszywy kierunek rozwoju. Za to prawie nie było pieniędzy na uruchomienie seryjnej produkcji wydajnych kolektorów słonecznych dla strefy umiarkowanej. Rozwijanie tej techniki powierzyło ministerstwo niewielkim firmom, których niepowodzenia zapewniły na długi czas złą opinię wszystkim modelom kolektorów słonecznych.

Gdy zaś chodziło o przyznanie pieniędzy na badanie czy rozwój alternatywnych energii, wówczas urzędnicy zdawali się na opinię rzeczoznawców, których nie można było całkowicie uwolnić od zarzutu stronniczości. Na przykład wszystkie projekty z dziedziny energetyki słonecznej analizuje i ocenia od lat... ośrodek badań jądrowych w Juelich. Nikomu nie przyszło na myśl, że eksperci ci mogą mieć bardzo jednostronny pogląd na temat alternatywy dla energii jądrowej!

W zasadzie w dziedzinie energetyki słonecznej nie popierano w ogóle tego, co z natury jest długoterminowe — stwierdza profesor Adolf Goetzberger, dyrektor Instytutu Słonecznych Systemów Energetycznych (ISE) we Freiburgu. — Tak często deklamowano na te-

elektryczny. Czarodziejskie słowo brzmi: zjawisko fotowoltaiczne. Za tym pojęciem kryje się znany od ponad 150 lat proces fizyczny: gdy światło działa na pewne materiały jak krzem, selen lub piryt, wówczas przekształca się ono w energię elektryczną.

Baterie słoneczne przetwarzają energię fotonów, cząsteczek światła w elektrony, których strumień stanowi prąd elektryczny. Im więcej elektronów wprawia w ruch światło i im lepiej przebiega układanie tych elektronów w prąd, tym wyższy jest stopień sprawności baterii słonecznej.

432 szare płytki umieszczone na samochodzie mercedes — srebrna strzała Petera Bauera w rajdzie „Tour de Sol 85” miały sprawność około dziesięciu procent. W październiku 1985 r. australijski profesor Martin Green zaprezentował na kongresie naukowym na temat zjawisk fotowoltaicznych w Las Vegas baterię o sprawności 20,5 procenta. W laboratorium Uniwersytetu Stanford skonstruowano ostatnio baterię słoneczną, która przekształca w prąd elektryczny 27,5 procenta padającego na nią światła.

Badaacze ze Stanford użyli płyty krzemowej o grubości zaledwie 0,08 milimetra. Baterie firmy Siemens sprzed 30 lat składały się z kilkumilimetrowej grubości płytek z cennego materiału.

Możliwie oszczędne stosowanie kosztującego 180 marek za kilogram materiału jest najlepszym sposobem na obniżenie kosztów produkcji ogniw słonecznych. Gdy w 1958 r. pierwsze baterie poleciały w Kosmos, aby opatrzyć w prąd satelity, srebrnoszare płytki kosztowały jeszcze wiele tysięcy marek. Ale w tym wypadku pieniądze nie odgrywały roli. W roku 1977, gdy eholdziło o ziemskie problemy z prądem, koszt zainstalowania wynosił około 100 marek za 1 wat mocy; dzisiaj jest to dwanaście marek. Oczywiście dyskusyjnym jest, czy nadal będzie następował tak drastyczny spadek cen.

Dla kogo w końcu ten młyn?

Borola Martynowicz

NIE mniej się chyba dziwił dawny lublinianin patronowi Trybunału Lubelskiego — Dominikowi Boczarowskiemu i braciom Brzezińskim, niż współcześni mieszkańcy Dysa mistrzowi młynarstwa — Józefowi Suprynowi. Cóż tak lublinianin poruszyło? A to, że ów Dominik Boczarowski wykonywał w sobie w 1811 roku zainstalowanie na wieży dawnego pałacu Sobieskich, obecnej siedziby Politechniki Lubelskiej przy ulicy Dąbrowskiego, wiatracznych skrzydeł, w celu wiadomym. Niestety, realizacja pomysłu niedosłego przemysłowca doprowadziła go do bankructwa. Ażeci, pół wieku później, bracia Brzezińscy, kolejni właściciele pałacu (już tylko z nazwy), urządzili w nim młyn parowy, do którego dobre dwa dziesiątki lat zajeżdżały gospodarskie wozy z workami pełnymi ziarna.

Ale co ten anegdotalny przekaz ma wspólnego z panem Józefem Suprynem? Trochę ma, bowiem od przeszło trzydziestu lat pan Supryn wraz z żoną i synem prowadzi swój młyn w równie do tego, co i pałac, nieprzystosowanym obiekcie, bo w starej, dyskiej karczynie.

A mocne zaś zdziwienie co poniektórych dysowian wzbudziło to, iż pan Józef złożył w podaniu o kupno drugiego młyna, który kiedyś, i owszem, dzierżał jego ojciec, Jan, a właścicielem był stryjeczny brat, Stanisław, który w 1947 roku młyn ów opuścił, podejmując pracę w Lublinie. Młyn przejęty od tego ostatniego pod przymusowy zarząd przez państwo w 1956 roku został upaństwowiony, a następnie, w 1982 roku, wystawiony przez Gminną Spółdzielnię SCh w Niemcach do sprzedaży w ręce prywatne, stał się „zagwozdką” prawną, trudną wiele do rozmotania.

Bo kiedy już — ujmując rzecz najkrócej — zgodzeni przez Radę Nadzorczą Spółdzielni kandydaci do kupna młyna w osobach Tadeusza Supryna (stryjcznego brata Józefa) i jego współnika, Jana Kozia (rolnika nie parającego się młynarstwem), wnieśli do kasy spółdzielczej jeden milion złotych, gdyż na tyle rzeczoznawca NOT-u oszacował wartość owego młyna — wcale nie stali się jego właścicielami! Gminna Spółdzielnia SCh w Niemcach, składając „winę” na karb jakoby niepewności co do faktycznej własności młyna, obiektu tego kupcom nie przekazała. Upomnieli się więc oni o swoje w sądzie.

Spór o dyski młyn opisywany był przez lubelską i centralną prasę, prezentowany także w telewizyjnej audycji „Sprawa dla reportera”. Zapewne więc i ostateczne słowo prawne, które się obecnie w sądzie waży, skomentowane zostanie szeroko.

Ale coż z owym zdziwieniem mieszkańców Dysa nad chęcią nabycia przez Józefa Supryna (jako drugiego w kolejności kandydata) owego młyna? Ano to, że gdyby go kupił to miałby dwa! Co wcale nie jest prawdą, bo w złożonym podaniu do Gminnej Spółdzielni pan Józef wyraźnie zaznaczył, iż z chwilą nabycia młyna, posiadany przez siebie obecnie, a zlokalizowany w karczynie, zostałby zlikwidowany. Niby oczywiście, ale miejsce zdziwienia zajął u nich z kolei nieokreślona niechęć do tego, aby w ogóle pan Józef kandydował do kupna młyna. A to wysmyknieły się, nie wiedzieć, jaka droga, pomówienia o młynarską nieuczciwość, a to o rzekomo wywierane naciski w Izbie Rzemieślniczej, mające utrudnić Tadeuszowi uzyskanie uprawnień młynarskich. Te kolacje dość dobitnie wyczytać można było między wierszami także i w publikacjach prasowych.

Mając więc — zdawałoby się — pełne kompetencje (w świetle obowiązujących zarządzeń i przepisów, a więc: tytuł mistrzowski, przeszło 30-letnią praktykę i członkostwo w spółdzielczości chłopskiej), zasługi w działalności społecznej i rzemieślniczej, młodego następcę (syna) również z młynarskimi uprawnieniami i rodzinny poniekąd sentyment do młyna — Józef Supryn nie został w rezultacie wytypowany przez Radę Nadzorczą do kupna. W ubiegłym roku wycofał się ze swego zamiaru. Drażno jednak pytanie: dlaczego po tylu latach ofiarnej i nienaganej pracy w młynarstwie, pomimo posiadanego doświadczenia i kwalifikacji, okazał się „niegodnym” zakupu, i to mimo gotowości zapłacenia wyższej — niż było to oszacowane — sumy za młyn?

Rada Nadzorcza Gminnej Spółdzielni w Niemcach wybrała ofertę 78-letniego Tadeusza Supryna od 1952 roku nie związanego z dyskiem młynarstwem ani miejscem zamieszkania, ani zawodem, przynajmniej do czasu, jakoby byłym współwłaścicielem młyna. Czyżby bardziej dawała wiarę orzeczeniu przewodniczącego Komitetu Drobnej Wytwarzalności z 1956 roku, potwierdzającym współwłaścicielstwo Tadeusza, niż notarialnemu zapisowi w księdze wieczystej, z którego owo współwłaścicielstwo bynajmniej nie wynika?

Postawienie w tej kwestii przysłowiowej kropki nad „i” leży już w prawnej kompetencji. Zatem ani Józefowi Suprynowi, ani trzeciemu z kolei zgłoszonemu kandydatowi do zakupu młyna, Aleksandrowi Banachowi z Lublina, nie dane było starać się o młyn w bardziej dżentelmeńskiej formie — w drodze przetargu.

No i pozostał Józef Supryn na swoim dotychczasowym młynie w dawnej karczynie. Jej mury nie wytrzymują pracy jedenastu, jakkolwiek by było, urzędników, coraz to trzeba coś latać i kłamować. I wysokość budynku nie ta, jakby tego wymagał dobry młyn. Ruch jest za to stały, bo i przemiatły złocone z PZZ, i przemiatły gospodarze są przez pana Józefa wykonywane.

Zajrzałam też z ciekawości do tego drugiego, GS-owskiego jeszcze młyna. Był czynny: w środku — pachniało świeżą mąką. Od kwietnia tego roku młyn obsługuje Stanisław Gawroński, również mistrz młynarski, co widać po uporządkowanym wnętrzu, uruchomionym śrutowniku oraz informacji w oknie młyna, iż pracuje on „do oporu”; nawet jeśli zajdzie potrzeba, to i w poniedziałek. Rozmawiamy chwilę o młynie. Mnie zadziwia wieloletnie chyba zaniedbanie na zewnątrz tego obiektu; pana Gawrońskiego — skoro już zeznaliśmy na wiadomy temat — niska wycena młyna przez NOT.

— Pani popatrz — mówi — to okno jakie ma zdrowe jeszcze futryny, kraty; szyby są całe. Wyceniono je na pięćdziesiąt kilka złotych, warte jest dobre kilka tysięcy. Pani zobaczy — podłogi!

— Rzeczywiście, wydają mi się one równie zdrowe co i okna. A na zewnątrz?

— Wyremontuje sam — zadeklarował pan Gawroński — to zadaszcie, zrobię ławkę dla czekających. No, trzeba będzie solidnie podremontować budynek. A tu były splątania wody — pokazuje — zarosły już chwastem...

— Lepiej późno niż wcale — pomyślałam sobie — Gminna Spółdzielnia i pan Gawroński zamierzają wyremontować ten okaz, o pewnej wartości zabytkowej młyn.

Kto ostatecznie będzie jego właścicielem — orzeknie sąd. Józefowi Suprynowi pozostało trochę żalu, trochę krzywdy, a na pewno nadszarpniętej niezaskuszonej dobrej młynarskiej reputacji, choć ruch w jego młynie duży, a dawna i obecna klientela — niezawodna. W czym więc sprawa? W oddaniu — może nieco powleczając — jednego choć grosza racji będącej i po jego, Józefa Supryna, stronie.

Czas, który dla przeciętnych ludzi stanowi porę wypoczynku i kanikuły, dla innych oznacza okres wyjątkowo wzmożonej aktywności. Dzieje się tak zapewne w myśl znanej szekspirowskiej maksymy o kimś, kto musi czuwać, aby inny mógł spać. Chodzi tutaj wszakże o zupełną odwrotność tego powiedzenia. Przynajmniej w sensie moralnym. Rzecz cała dotyczy bowiem złodziei mieszkań. Nasz całowyciowy dorobek, zostawiany niejednokrotnie pod opieką jednego lichego zamka, staje się wyjątkowo kuszącym przedmiotem pożądania dla fachowców tej branży, a także licznego grona amatorów. Co prawda Lublin nie jest w tym względzie Mekką (istnieją stałe, tradycyjne centra takiej działalności w kraju), niemniej na terenie naszego województwa w pierwszym półroczu br. około 180 razy naruszano cudze włości bez zgody właścicieli, z czego 70 proc. przypadków zanotowano w samym Lublinie, a szczególną hołdę zauważa się w miesiącach letnich. (Wiadomo, okazja czyni itd.)

Namiętnie wlamywali się „kolekcjonerzy” biżuterii i złota, a także walorów pieniężnych o uznanym kursie na międzynarodowych giełdach. Tuż za nimi pospółowali „specjaliści” od wyrobów kuśnierskich i skórzanych, a staw-

ki zamkniętych drzwi, którym przyda się wszystko. Drzwi do domowych sanktuariów otwierała im najczęściej ludzka lekkomyślność i nieostrożność współzasiadalców.

Nic więc dziwnego, że szczególnym obszarem złodziejskiej penetracji stały się bloki mieszkalne miast, gdzie idea anonimowości i braku kontaktów sąsiedzkich przerosła już w zwyczaj.

Gangi, uprawiające fachowość w tej dziedzinie, spotyka się u nas stosunkowo rzadko (częściej — przejawiają one apetyt na szeroko pojęte dobro społeczne, choć owa stymna szafka; tatuaż plus synowie, ograbiająca z kaloryferów nowo wznoszone domki jednorodzinne i upłynniająca towar” zakonachym w kanalizacji właściciela wiejskich kamienic, może poświadczyć o tym). Najczęstsze skoki dokonywane są „na żywioł” przez indywidualnych lub co najwyżej skupionych w drobnych grupkach, przestępców. Impulsem do dokonania „wypadu” bywa na ogół, dotkliwy w danej chwili, brak gotowizny i przemożna potrzeba zaspokojenia na dłużej dręczącego pragnienia. Nie oznacza to jednak, iż złodzieje nie bywają ostrożni; z reguły opukują najpierw mieszkanie, aby upewnić się co do absencji właścicieli. Sam akt charakteryzuje się już mniejszą dozą delikatności: drzwi zostają brutalnie wyla-

Muzyka młodzieżowa

Na oślepie

MUZYKA dwunastu taktów przeżywa w naszym kraju niebawmy renesans. Świadczy o tym choćby ilość przeglądów i festiwali z bluesem w tytule. Rosną one przez pęczkowanie. Efekt udziału w tych imprezach jest taki, że coraz większa liczba wykonawców przyznaje się do związków z bluesem. Nie zawsze są to mariaże udane artystyczne. Wymownym zdaje mi się przykład Martyny Jakubowicz, zupełnie zbytecznie łączony z tym gatunkiem.

Martyna przejawia ostatnimi czasy sporą aktywność koncertową, co można uzasadnić posiadaniem przez nią własnego zespołu. Dodajmy, niezwykle sprawnego technicznie. Kiedy współpracowała z Robotnikami Sezonowym czy Kasą Chorych, mogła pozwolić sobie na sporadyczne występy. Wtedy jednak stawiała pierwsze kroki estradowe i zachowywała się zupełnie inaczej, niż teraz. Wahala się wówczas co ma wybrać — folkowe ballady w klimacie swej wielkiej faworytki Joan Baez, czy może bardziej rockowe kawałki. Przełomem w karierze wokalistki była niezła piosenka „W domach z betonu nie ma wolnej miłości”. Powodem na listach przebojów przekonała sceptyków, że jest wykonawczynią dojrzałą, zdolną pisać markowe piosenki o chwytliwej melodyce. Za „Betonomi” poszły zresztą inne zgrabne kompozycje. Martyna stawiała się powoli sławną i coraz bardziej pewna siebie.

Każdy wykonawca zmuszony jest w pewnym momencie dokonać wyboru muzyki, jakiej poświęci się bez reszty. Martyna postawiła na bluesa i wcale nie jestem przekonany, że był to wybór przemyślany. Wątpliwości mnożą się po wystuchaniu jej debiutanckiego longplaya „Maquillage”. Dostała się za niego solistka co niemiernie i słusznie. Martyna śpiewa bowiem sobie, a akompaniujący jej muzycy grają dla siebie. Dystans między nimi jest słyszalny od pierwszej frazy. O ile nie można mieć zastrzeżeń do solidnie wykonujących swoją rolę instrumentalistów, o tyle można się co najmniej zdziwić mało udanym próbom głosowym Jakubowicz. Choćby dlatego, że wbrew temu, co wbił jej do głowy sprzyjający „szepczaczki”, nie śpiewa ona żadną miarą bluesa. Mało tego, mam uzasadnione podejrzenie, iż go wcale nie czuje.

Klasyczny blues wymaga od wykonawcy szczególnych umiejętności. Poza naturalnym feelingiem musi on dysponować specyficzną barwą głosu, pełną ekspresji i zadziorności. Musi swą sztuką przekonywać słuchacza, że blues w jego wydaniu nie jest chwilowym kaprysem, podporządkowanym czyto komercyjnym intencjom. Porównując śpiew Martyny z płytami czarnej Bessie Smith czy białej Janis Joplin, łatwo wychwycimy wszystkie niedostatki i mielizny wokalne naszej pretendentki do tytułu Lady Blues. Jej płaski, mało ciekawy w barwie aparat głosowy nie nadaje za muzyką, z taką wprawą wykonywaną przez akompaniujący solistkę ansambl.

Nie wiem, na jakich zasadach Martyna bývá zapraszana na festiwale



bluesowe, skoro jej sztuka nie dorasta poziomem przeciętnej kapeli, specjalizującej się w muzyce dwunastu taktów. Tymczasem nieporozumienia koncertowe idą w parze z fonograficznymi. Wydana jesienią ubiegłego roku koncertowa kasetta Martyny i jej zespołu znowu obnażyła miłośność proponowanych numerów. Wbrew oczekiwaniom są one antyreklamą profesjonalizmu. Wykonawczyni najwyraźniej zabrnęła w ślepy zaułek, z którego nie widać wyjścia. Skutecznym rozwiązaniem byłby powrót do folku, w którym sprawdzała się całkiem niezle. Tylko pytanie, jak jej to uświadomić, jeśli z uporem maniaczki uprawia dalej rockowo-bluesowy ugor?

Podobnych nieporozumień, dotyczących rozmiarek się ambicji z możliwościami, można wyłowić więcej wśród kandydatów na gwiazdów pop-estrady. Swoboda, z jaką kreuje się u nas Idoli, i zupełny brak samokrytycyzmu podczas pierwszych, z reguły nieudanych sesji nagrańowych, mają podobnej fatalnej skutki, prowadzące do artystycznej dezregulacji niepospolite zapowiadającego się „talentu”.

Jak potoczą się dalsze losy estradowe Martyny Jakubowicz, przekonamy się pewnie niebawem. Ponoć nagrala ona nowy album, którego zwiastunem jest kompozycja „Miecz i kij”. Jeśli zawartość płyty będzie kontynuacją dotychczasowych prób, nie wróżę sukcesu.

Blues jest stylem garstki wybrańców i trudno o tym zapominać. Zbijanie kapitału na zmiennej modzie zawsze kończyło się bolesnym upadkiem. Wiedzą o tym najlepiej ci, którzy przedwcześnie musieli pożegnać się ze snami o sławie i chwale. Martyna może to spotkać nawet szybko. Prognoza jest tym bardziej prawdopodobna, iż towarzyszący jej zespół opuścił definitywnie współtwórcę wielu kompozycji — gitarzystę Andrzeja „Misiak” Nowak, zainteresowany pracą na własne konto.

Istvan Grabowski

Romantyczne nierządnicze

Okolo pół miliona dziewcząt filipińskich utrzymuje się z prostytucji. Procent od Marcosa nie może się z tym pogodzić, nawet za cenę „odstraszania” wielu turystów. O problemie tym pisze korespondent francuskiego „Le Monde” Kim Gordon Bates:

PEWNE chińskie przedsiębiorstwo w Hongkongu postanowiło niedawno wylansować na rynku nową zabawkę, a mianowicie „filipińską lalkę — służącą do wszystkiego”, wyposażoną we wszystkie niezbędne akcesoria — odkurzacz, szczotki, paszport i umowę o pracę. Sprawa ta wywołała oburzenie w Manili. Tam nie wolno robić sobie żartów z godności narodowej od czasu, gdy „rewolucja lutowa” ogłosiła zaniepokojenie „niedobrym wizerunkiem” kobiety filipińskiej za granicą. Na ten wizerunek złożył się przede wszystkim gigantyczny „przemysł” nierządu, prosperujący w Manili, w Cebu i w pobliżu baz amerykańskich Subic-Bay i Clark-Field.

Od kilku tygodni organizacje religijne i komitet „zainteresowanych obywateli” organizują spotkania poświęcone walce z prostytucją. Policja generała Alfreda Lima urządza obławę w „gorących” dzielnicach Manili. Zdarza się jej niekiedy złowić „grubą rybę” według terminologii generała, jak np. „Donę Mering” czyli „Królową występku”, władającą chińską dzielnicą stolicy, która to „królowa” za czasów dawnych rządów korzystała ze znacznej protekcji politycznej. Ale prostytucja jest nadal plagą i „kuracja oczyszczająca” daje znikome rezultaty.

Według niektórych ocen, na Filipinach jest obecnie od 300 000 do 500 000 prostytutek. Nędza wsi, brak nauczycieli w szkołach, tysiące dziewcząt nie mających żadnego przygotowania zawodowego w kraju gdzie bezrobocie obejmuje 16 proc. ludności w wieku produkcyjnym — oto czynniki, które się na to złożyły. A poza tym jest jeszcze kuszący blask świateł wielkiego miasta i to połączenie nadziei i fatalizmu, typowe dla wszystkich Filipinczyków. Duchowni i policjanci zgodnie stwierdzają, że prostytutka filipińska różni się od swych sióstr europejskich nieuleczalnym romantyzmem: „zakochuje się w każdym kliencie”. Każde spotkanie przynosi nie tylko korzyść materialną, ale także jakieś złudzenie. Niektóre prostytutki żywią chimeryczne nadzieje, jak np. 23-letnia June, która żyła zaledwie miesiąc z przyjeźdnym Australijczykiem, pamięta tylko imię swego przelotnego partnera, ale dzisiaj, będąc w czwartym miesiącu ciąży, jest pewna, że urodzi „syna, który będzie chodził do szkoły i będzie miał białą skórę”.

Od czasu „rewolucji” władze filipińskie — a zwłaszcza minister spraw społecznych, dr Mita Padro de Tavera — starają się lepiej zorientować w sytuacji. Prostytucja w Manili rozwinęła się pełną parą dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. W owym czasie do stolicy zjechali turyści wątpliwego autoramentu — członkowie australijskiej mafii, którzy pilnie potrzebowali ukryć się gdzieś na — pewien czas. W ogólnym zamęcie politycznym, który dał początek trwającemu do dzisiaj powstaniu komunistycznemu, Manila była wymarzoną miejscem dla tych, którzy potrafili wykorzystać chaos administracyjny i korupcję.

Przedewszystkiem zła była bazy amerykańskie, które ludzi spragnionych „odprężenia” —

wszakże wojna w Wietnamie toczyła się o kilkaset mil od archipelagu. Pierwsze „bazy z dziewczynami” powstały w dość odskrajonej dzielnicy Frmita, niedaleko od wielkiego kompleksu portowego Manili.

W początkach lat 70-tych, kiedy klęska armii południowowietnamskiej zmusiła dowództwo amerykańskie do zwiększe-

czor, mają „europejskie” imiona i mieszkają na piętrze, stłeczzone w nędznej sypialni. W trakcie wieczoru „mamasan” podchodzi do klienta i proponuje mu „zabranie dziewczyny” za 150 pesos, klient zaś wynagradza partnerkę wedle własnej woli.

„Gloria” pochodzi z prowincji Batangas. Zawsze była głodna. Pamięta, że już w drugim dniu pracy została „sprzedana” jakiemuś mężczyźnie, przy czym nie pytano jej o zdanie. Jest najstarsza z trojga rodzeństwa; ojciec, rybak, zginął w czasie burzy na morzu. Jakiś czas uczyła się w



Rys. Józef Tarłowski na podstawie „Le Monde”.

nia stanu liczebnego GI i „marines” na archipelagu filipińskim, zaczęli napływać pierwsi turyści płci męskiej z Japonii, Stanów Zjednoczonych i Australii, a także, choć w znacznie mniejszym stopniu, z Europy. W latach 80-tych samoloty czarterowe przewoziły przeważnie Japończyków podróżujących w ramach „sex tours”. Dla tych wagarujących przemysłowców „odkrywanie” kultury Filipin ograniczało się do ulic i „barów-dyskotek” dzielnicy Frmita. Ponieważ goście za wiele sobie pozwalali, rząd Marcosa musiał zareagować i „turystyka” japońska zmniejszyła się o 25 procent. Japońscy handlarze uciechami zgrzeszyli nadmiarem zmysłu organizacyjnego. Ich europejscy i australijscy „koledzy” działali bardziej dyskretnie, raczej woleli inwestować w lokale miejscowe... Jak mówi Padro de Tavera, były prezydent Marcos był „wielkim organizatorem” tej działalności. „Ministerstwo turystyki — mówi Padro de Tavera — wydało zezwolenia dla „hospitality girls” (czyli hostess), które chciały pracować w barach i klubach. Często musiały się ubierać wyzywająco i po prostu sadzaano je rzędem w hallach hoteli dla turystów jako przynętę”.

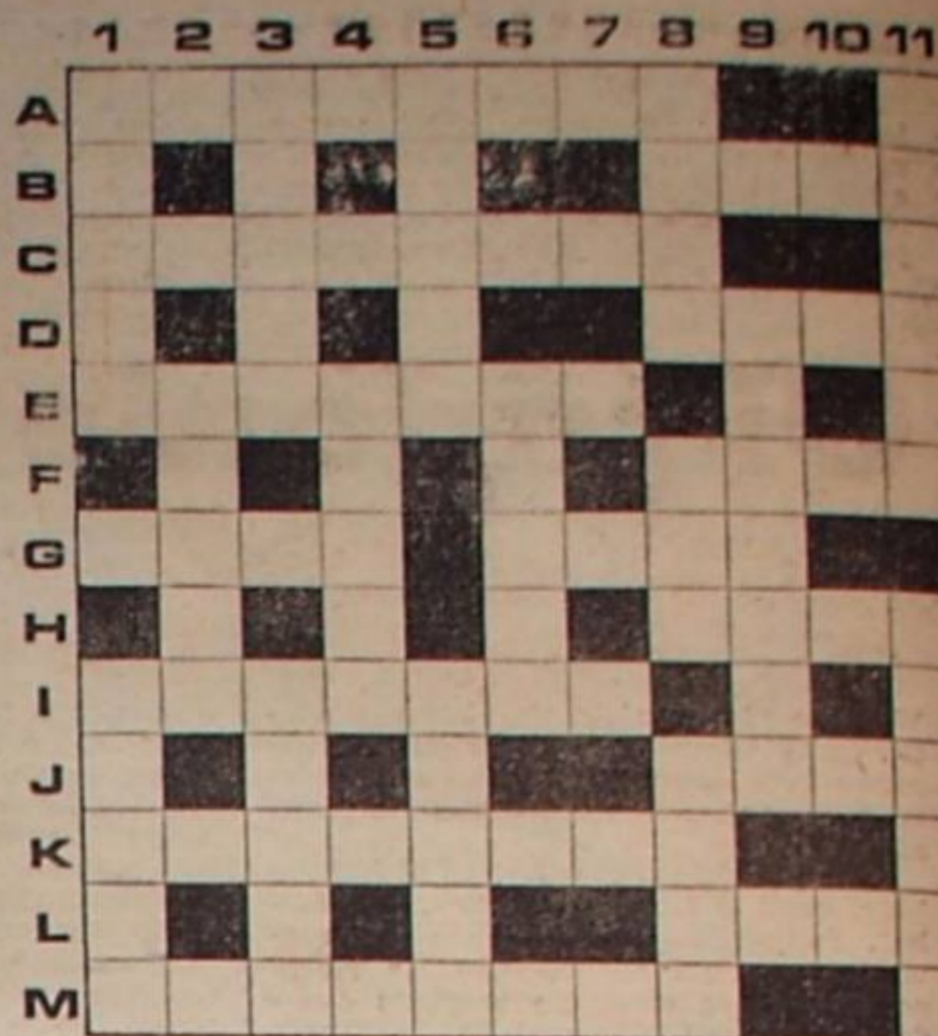
System zezwoleń istnieje nadal. W nocy, kiedy zapalają się neony Frmity, ulicami przechadza się tam i z powrotem fala turystów. Śmiecie wyrzucane z restauracji trafiają prosto pod nogi przechodniów, wynędniałe koty przemykają się wzdłuż rynsztoków, a handlarze zachwalają swój towar bez większego przekonania.

Ukryte w mroku, podrygując w takt ostatniego przeboju amerykańskiego, dziewczyny czekają grzecznie, odziane w bikini, na których właściciele lokalni często przyszywiają napisy reklamujące towarzystwa lotnicze lub biura podróży. Inne z kolei podskakują na wysokiej scenie pod sroim spojrzaniem „mamasan” (burdelmamy). Dostają 30 pesos za wie-

szkole prowadzonej przez zakonnice, a potem próbowała szczęścia w „wielkim mieście”. Po dwóch tygodniach daremnie poszukiwania pracy, bez żadnego przygotowania fachowego, musiała zdecydować się na to, co było nieuchronne. „Gloria” marzy o poznaniu jakiegoś „miłego Europejczyka”, który zabralby ją „bardzo daleko, tam, gdzie trawa jest zawsze zielona”. Ale Europejczycy odwiedzający Frmitę rzadko bywają „miłi”; są to głównie przemysłowcy miętoszący w rękach pliki banknotów, dziadkowie z brzuszkami „podrywajacy” ledwo dojrzałe dziewczątka, wojskowi amerykańscy o donośnym głosie i cała masa turystów szukających wakacyjnych przygód...

Siostra Perpinan, zakonnica kierująca grupą rehabilitacji prostytutek, podreśla, że rekrutacja dziewcząt we wsiach oddalonych od stolicy była ułatwiona dzięki poparciu władz państwowych. „Mamasan o wyglądzie wielkiej damy przyjeżdżała do wioski i proponowała rodzicom dziewczęta umieszczenie ich w charakterze pomocy domowych w przyzwoitych rodzinach — opowiada zakonnica. — Przeważnie było tak, że burmistrz miejscowy lub szef policji współpracował z ową damą i gwarantował jej uczciwość”.

Minister spraw społecznych przyznaje, że jest bezsilny wobec ogromu problemu. „Bez pieniędzy trudno zrealizować program oświaty i szkolenia młodzieży wiejskiej”. General Lim marzy tylko o represjach. „Będziemy aresztowali prostytutki i sutenerów tak często, jak będzie trzeba. Posiedzą 30 dni w więzieniu i wreszcie zniechęcą się i pójdą gdzie indziej”. Zakonnica zaleca wzorzec wietnamski: „Tam rząd rehabilituje prostytutki, dzisiaj kobiety wietnamskie odzyskały swą godność”. Siostra Perpinan zbadała sprawę na miejscu i wróciła z Wietnamu przekonana, że na Filipinach „wystarczyłoby trochę dobrej woli i mały cud”. Ale czy cud może być mały?



Krzyżówka nr 19 z szyfrem

Poziomo: A. miasto pod Szczecinem ● większy prosiak, B. ustrój państwa, C. wyobraźnia ● amortyzator, D. wódz II wojny żydowskiej, E. strefa pod biegunem północnym ● duży utwór literacki, F. towarzysz d'Artagnana ● piosenkarka zespołu Maanam, G. dzielnica Warszawy ● powierzchnia ● rybie jaja ● prawy dopływ Angary, H. wiązka słomy lub zboża ● kierownica statku, I. umyślnie uszkodzenie urządzeń ● nalewka na czerwonych owocach, J. płaskorzębka w drewnie, K. kopyto do utrzymywania fasonu buta ● z jej wień bronił się Almanzor, L. miasto graniczne nad Nysą, M. król pisma, którym Gutenberg składał Biblię ● szybko biegający ssak.

Pionowo: 1. stolica europejska ● należy do Trójmiasta, 2. część walki bokserskiej, 3. podpisywał się El... ● odbicie od światła, 4. taniec wracający stale do łask, 5. kłamotoy ● taniec modny przed kilkunastu laty, 6. egzemplarz spod kalki, 8. szeregowiec piechoty w XV wieku ● wyspa duńska, do której przepłynął Czarniecki przez morze ● apteczna porcja, 9. doradca Priama, 11. niebiesko-zielony kamień ozdobny ● przyprawa do potraw, 13. brat Jacka ● sportowy zegarek, 15. obiektywne ograniczenia, 16. materiał opatrunkowy ● anglosaska miara powierzchni ● kelnerska podstawka, 18. nadkongijska kuzynka żyrafy, 19. pszczele larwy ● przejście wodne między akwenami o różnych poziomach, 20. Troja, 21. opera Delibes'a ● stan w USA, 22. rzewo owocowe, 23. osadza się nad ogniem ● powieść Gojawiczyńskiej. S Z Y F R

J19. I18. J16. E21. D10. E1. F9. K19. A4. C2. H9. E20. C19 / L8. B8. E18. K6. C6. C22. I2. K21 / L12 / I11. M17. H13. G6. K5. A18. B16. D13. C7. G15 / G2. E7. A7. J13. H2. B11 / G4. B14. G9 / C23. F14. A2. H16. K23. C4. G3 / EG. G20. F18. M21. L9. H10 / H6. C3. F11. K1. I21. K22. I4. H22. C8. E23 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 17 Z SZYFREM

Poziomo: karakuł, piekarz, puklerz, Grzegorz, balwierz, ikra, tatra, agat, scysja, cenzor, Róża, remiz, kiep, czar, prom, wrak, tenis, nimb, Arkady, kotlet, arka, Rabka, znój, anabiosa, renkloda, oprawka, balotaż, kwintet.

Pionowo: kurier, wiadro, grażdanka, aura, Anna, ule, Cezar, buk, konserwator, Isztar, tyrada, kult, Men, boso, rębacz, Skarga, plenipotant, Uri, Opole, lew, lura, zdun, zgnilizna, zastęp, bojkot.

Szyfr
KTO OBLICZA KOSZT MUZYKI I BĘBNA. TEMU NIE UDA SIĘ WESELE.

Przysłowie bułgarskie wg Iwana Wazowa w powieści „Pod jarzmem”.

Nagrode wylosowała Czesława Szlemo, ul. Poczdamka 5A m. 32, 67-200 Głogów.